GERHART HAUPTMANN.

DZWON ZATOPIONY.

BAŚŃ DRAMATYCZNA.

Przełożył

Jan Kasprowicz.

WARSZAWA.
Nakładem Władysława Okręta.

1899.

Druk E. Lubowskiego i S-ki, Szpitalna № 10.

Дозволено Цензурою,
Варшава, Іюля 28 дня 1898 г.

DZWON ZATOPIONY.

OSOBY:

HENRYK, odlewacz dzwonów.
MAGDA, jego żona.
DZIECI OBOJGA.
KSIĄDZ.
NAUCZYCIEL.
BALWIERZ.
SĄSIADKA.
BABA JAGA.
RUSAŁKA.
WODNIK, duch żywiołowy.
KOZODÓJ, faun duch leśny.
ELFY.
KRASNOLUDKI, płci obojga.

Tło baśni: góry i wieś u ich podnóża.

AKT PIERWSZY.

Polanka leśna, owiana szumem jodeł. W głębi na lewo pod wystającą opoką mała, na pół ukryta chatka. Z przodu, na prawo, niedaleko skraju lasu stara studnia, na podwyższeniu jej brzegu siedzi Rusałka.

RUSAŁKA

półdziecko, półdziewica, istota z kraju elfów. Czesze grube czerwono-złote włosy i odpędza pszczołę, która jej w tem natarczywie przeszkadza.

RUSAŁKA.

Ty brzęczyzłotko! skąd się tutaj wzięłaś?
Ty cukrojadku! ty mój woskoróbku!
Słoneczny ptaszku! dajże mi raz spokój!
Idźże odemnie! Muszę sobie włosy
wyczesać złotym grzebieniem babuni
i het! uciekać! złaje mnie, gdy wróci.
Idź! to ci mówię!—Czego tutaj szukasz?
Czyż ziółkiem jestem? Czyż kwieciem me [usta?
Poleć-że, pszczółko na leśną polanę,
poza strumyczek, tam rosną fijołki,
tam jest szafranu i pierwiosnków pełno:
wleź w nie i pij z nich, aż się oszołomisz...
Mówię na prawdę: idź że swoją drogą —
do swego zamku! wiesz, żeś jest w niełasce:

urok na ciebie rzuci baba-leśna,
że wosk na świece dajesz do kościoła...
Rozumiesz, pszczółko? Czy to się tak godzi?
Stary kominie na dachu mej babki,
wyzioń-że ku mnie trochę dymu z siebie,
odstrasz psotnicę!.. Kłęb się nakształt fali,
tocz się gęsiorze, wij się, dalej! dalej!
Masz! *Pszczółka ucieka.* A! nareszcie.
Rusałka *czesze się chwilę bez przeszkody, potem nachyla się ku studni i woła:*
Hola, mój wodniku!
E! on nie słyszy! Zaśpiewam swą piosnkę!
Nie wiem ja, skąd mnie przyniosło
i nie wiem, gdzie mnie poniesie;
nie wiem, czy jestem rusałką,
czy ptaszkiem w lesie!
A pękające zioła,
co leją woń dokoła,
skąd wzięły się w tym borze,
któż to odgadnąć może?...
Lecz czasem coś pali mnie przecie:
jakiego ojca i matki ja dziecię,
chciałabym wiedzieć: daremnie!
trudno dochodzić!
trzeba się zgodzić:
wszak złotowłosa rusałka jest ze mnie!
Patrzy znowu w studnię i woła:
Chodź tu, wodniku! chodźże, mój staruszku!
Po szyszki, widzisz, poszła baba-leśna,
a mnie się nudzi... Jeszcze dzisiaj w nocy
do Maćkowego skradnę się kurnika,
zwinna, jak kuna, i chętnie ci zwędzę
czarnego kura... Idzie! Hej wodniku!

Kuka i huka! srebrne wstają bąble...
Jeśli się teraz podniesie od razu
stłucze mi czarne to zwierciadło, w którem
tak sobie dygam wesoło w tej głębi.

Rozmawiając z odbiciem swojem w zwierciadle wody:

Ej-że, dzień dobry, boguneczko luba!
Jakże się zowiesz? jak? Rusałka? prawda?
I niby jesteś najpiękniejszą z dziewczyn?
Tak, odpowiadasz, tak... jestem Rusałka...
Co ty tam pleciesz? wskazujesz paluszkiem
na te bliźniaczki, na tych piersi dwoje?
Spójrz jeno, proszę: czyż nie jestem piękna,
jak sama Freja? Czyż te moje włosy
nie są ze szczerych promieni słonecznych,
że się w odbiciu wody tak czerwienią,
jak jaśniejąca bryła złota? Widzisz!...
Tak o! wskazujesz na tę sieć ognistą
tych moich splotów, tak mi je rozwijasz,
jak gdybyś chciała w tej wodnej głębinie
ryby w nią łowić! a zatem złów kamień,
ty mój głuptasku! Zaraz będzie koniec
twoim przechwałkom—a ja znów zostanę
taką, jak przedtem!... Nuże, ty wodniku!
zabaw mnie trochę... Jest stary!...

Wodnik po piersi wychyla się ze studni:

Hahaha!
Pięknym nie jesteś... Już jak cię zawołać,
to się dostaje, widzisz, gęsią skórkę,
a cóż dopiero, spojrzawszy na ciebie.

WODNIK

starzec wodny z sitowiem we włosach, ociekający wodą, sapie przeciągle, jak foka. Mruga oczami, dopóki nie oswoi się z jasnością dzienną.

Brekekekekeks!

RUSAŁKA.

O tak! brekekekeks!
Czuć zapach wiosny i to ciebie dziwi...
O tem najlichszy wie już krzeczek w murze,
wesz, kret, przepiórka, wie i pstrąg w potoku,
wie o tem wydra, mucha i mysz wodna,
trawka, myszołów, zając w koniczynie!
A ty dlaczego nie wiesz?

WODNIK.

Brekekekeks!

RUSAŁKA.

Spałeś? Nie widzisz i nie słyszysz tego?

WODNIK.

Brekekekekeks!... Nie bądź przemądrzałą!
Rozumiesz-że mnie, ty małpo zielona?
Ty żółtodzióbku, czajko wpółwykluta,
skorupko piegży ty jedna! więc: kwakwak!
Mówię ci: kworaks! kwakwak! kwakwak!
[kwakwak!

RUSAŁKA.

Jeśli wujaszek jest rozgniewany,
to sobie sama pójdę już w tany;
nie jeden rękę chętnie mi poda,
bo jestem piękna, luba i młoda!
podśpiewując sobie:
Oj dana! dana! luba i młoda!

KOZODÓJ

jeszcze niewidzialny.

Ehehehehej!

RUSAŁKA.

Chodź-że, zatańcz ze mną!

KOZODÓJ

nogi i brodę ma koźle; rogaty ten duch leśny wbiega na łąkę w zabawnych podskokach.

Nie umiem tańczyć, ale skakać umiem
tak, że najszybszy cap mi nie nadąży.
Nie lubisz tego? *Lubieżnie.* Znam ja skoczek [inny.
Chodź, boguneczko ze mną! chodź w gę- [stwinę!
jest-ci tam stara, wydrążona wierzba,
co nie słyszała ni piania koguta
ni szmeru wody; tam ja ci fujarkę
wytnę cudowną, według której tańczy
wszystko, co żyje na świecie.

RUSAŁKA

wymykając mu się z rąk: Ja? z tobą?
Szyderczo: Koźle nóżki, koźle różki!
Inne, capie, łap dziewuszki,
a odemnie, smukłej, młodej,
trzymaj zdala koźle smrody.
Do swej kozy ci się godzi,
tać codziennie dziecko rodzi.
W niedzielę troje, to dziewięć znaczy,
dziewięć brudasków, dziewięć kudłaczy.
Hahaha! *Śmieje się sierdziście i ucieka.*

WODNIK.

Brekekekekeks! A to dziki trzmielek!
Niech cię siarczyste!

KOZODÓJ

usiłował pochwycić dziewczynę, a teraz przystanąwszy:

O, można się uśmiać!

Wyciąga krótką fajeczkę i zapala ją, potarłszy zapałkę o kopyto.

Mała przerwa.

WODNIK.

Cóż tam u ciebie w domu?

KOZODÓJ.

Ot, tak sobie.
Tu u was ciepłem pachnie, że aż miło!
U nas tam w górze wiatr świszczący hula,
nabrzmiałe chmury leniwie się wloką
i wyciśnięte, niby gąbka mokra,
puszczają wodę pod siebie... Ot, świństwo!

WODNIK.

A zresztą cóż tam nowego, mój bracie?

KOZODÓJ.

Wczoraj na pierwszej użyłem sałacie,
a dzisiaj z domu wyszedłem sobie
w przedpołudniowej dobie.
Tak się spuszczając po grzbiecie gór,
w godzinę w gęsty zaszedłem bór.
Łamali kamień, kopali ziemię!
Ohydne plemię!

Nic mnie tak zgrozą nie napełnia zgoła.
jak kiedy widzę budowę kościoła,
a i te dzwony przeklęte!

WODNIK.

No i jak z chlebem mieszają miętę.

KOZODÓJ.

Lecz cóż pomogą płacze i jęki!
Już to nam trzeba znosić te męki...
Tuż nad krawędzią urwiska
krzyżem już błyska
ten kościół nowy
z wieżą, z kopułą na górze,
z ostremi oknami w murze!
Gdybym tak nie miał głowy,
już by nas tutaj pewnikiem
dręczył dzwon-potwór swym rykiem,
spokojnie wisząc na wieży.
A teraz on w jeziorze zatopiony leży...
Niech go tam czarty!
Piekielne były to żarty:
W postawie
o kłodę sosny opartej,
tak sobie stoję w trawie,
tak się w ten mały kościołek wpatruję,
łodygę szczawiu żuję
i medytuję
o tem patrzeniu i o tej łodydze.—
W tem widzę,
motyl czerwony tuż przedemną siedzi
na jakimś głazie i tak się biedzi,

tak się trzepoce, tak się chyboce,
jakby ze strachu utracił moce,
i niby pije z przyłaszczki kielicha...
W tę samą chwilę,
to niebożątko motyle,
na moim ręku siada!
Wiedziałem zaraz, że to sylfik miły.
A no więc gada
o różnych sprawach:
że się już w stawach
i po jeziorach żaby poikrzyły
i w tym rodzaju jeszcze to i owo,
czego już moje nie wypowie słowo,
bo już nie baczę...
I potem gorzko przedemną zapłacze,
a ja pocieszam, jak mogę
oną niebogę.
I potem znowu opowiada dalej,
jak wrzeszcząc „hejta i wiśta“, jak z bata
trzaskając, w górę tam pchali
dnem przewróconą żelazną maślnicę,
czy coś takiego! Do kata!
Straszne to było dla oka!
i zdjęła trwoga głęboka
wszystkie chochliki i wszystkie chochlice...
Mieli to dziwo — aż ci strach mnie bierze —
wciągnąć na wieżę
tego kościołka i potem
codziennie bić w nie ze żelaza młotem
i wszystkie duchy ziemne zabić tym łoskotem.
Ja mówię: hm! ja mówię to! to!
No i sylfika już nie ma na ręce...
Więc ja się tedy między kozy wkręcę,

het się nabucham i myślę: oho!...
Po tej z trzech pełnych wymion uczcie mojej
żadna już dziewka kropli nie udoi.
Potem stanąłem na czerwonym moście,
przez który leźli nieproszeni goście —
ludzie i konie.—O, pomyślę sobie,
tutaj najwięcej cierpliwością zrobię,
i wskok za nimi po głazach i łozach...
Ośm szkap parska w parcianych powrozach,
zaledwie mogąc udźwignąć potwora.
Robiąc bokami—jak im drżały nogi!—
wypoczywały wśród tej ciężkiej drogi,
by ciągnąć dalej... Dobra była pora:
wóz, z desek zbity, nie utrzyma dzwonu—
takiem pomyślał i swoim zwyczajem —
jechali właśnie nad przepaści krajem —
ulżyłem trudu tej ciżbie koni i ludu.
Na tej krawędzi kamiennego skłonu
chwyciłem koło: złamała się szprycha
i dzwon się zachwiał... szarpnąłem... do licha
stoczył się potwór w te przepastne głębie...
Hej! jak on skakał po skalistym zrębie,
jakby coś gonił,
jak on w podskokach dzwonił!
I tak na skały toczył się z skał,
hucząc i bucząc; z ciosu na cios,
jak kula, pędził; w ślad za nim grał,
hucząc i bucząc, echowy głos!
Toń go przyjęła na dnie, cała w pianie:
tam mu jest dobrze! tam niechaj zostanie!

Podczas tego, gdy mówił Kozodój, zaczęło się zmierzchać. Przy końcu jego opowiadania słychać dobywające się z wnętrza lasu wołanie o pomoc.

Zjawia się:

HENRYK

wlokąc się z trudnością ku chatce. Kozodój znika natychmiast w lesie, a Wodnik w studni.

HENRYK

Lat trzydzieści. Odlewacz dzwonów. Twarz blada, zbolała.

Hej! dobrzy ludzie!... Otwórzcie!... Sły-
[szycie!
Zbłądziłem!... Spadłem ze skały! Ratunku!
Ratunku, ludzie!... nie mogę... nie mogę...

Mdlejąc, pada w trawę niedaleko od drzwi chatki. Ponad górami purpurowy smug obłoków. Słońce zaszło. Po łące przewiewa chłodny, nocny wietrzyk. Zjawia się:

BABA JAGA.

Z koszem na plecach nadchodzi z lasu. Włosy odsłonięte, bielutkie. Twarz raczej męzka, niż kobieca. Wargi ocienione meszkiem.

BABA JAGA.

Chodźże, Rusałko! pomóż! pomóż dźwigać!
Za dużom sobie nakładła. Chodź! dalej!
Już mnie tchu braknie... Gdzie jest ta dziew-
[czyna?

Do przelatującego nietoperza.

Będziesz ty zaraz słuchał, latoperzu!
Jeszcze dość sobie nałapiesz hroboszków!
Żebyś natychmiast wlazł mi przez okienko,

Żebyś zobaczył, czy jest tam dziewczyna!
Powiedz, niech zaraz tutaj przyjdzie do mnie...
Dziś jeszcze będzie burza.

Grożąc niebu, które słabo błyskać się zaczyna.

Hej! nie szalej!
Koziołki swoje przytrzymaj w kierdełku!
A niech to twoje czerwone brodzisko
tak się tam bardzo nie pali! — Rusałko!

Do przelatującej drogę wiewiórki.

Oj! wiewióreczko dam ci buczyny!
Chyże i zwinne twoje nóżyny.
Skocz do chałupy, powiedz dziewczynie,
Niech tu się zaraz do mnie nawinie.

Natknąwszy się na Henryka.

Cóż to takiego! cóż to tutaj leży?
No, gadajże mi, co tu chcesz, chłopaczku?
Gadaj! Nie słuchasz? tego już zanadto!
Może nie żyjesz? Rusałko! No, jeszcze
tego nie stało! A toć bym na karku
miała od razu wielką biedę: proboszcz
i wójt! no tego to chyba za dużo.
I tak, jak na psa szczują już na człeka.
Niechby znaleźli ino trupa u mnie,
a już z chatynką mogę się pożegnać,
na drwa ją wezmą... Wstańże ty chło-
[paczku!
Nie słyszy!

Rusałka wychodzi z szałasu z pytającem spojrzeniem.

Przyszłaś nareszcie! bacz ino!
Mamy tu gościa! A jeszcze jakiego!

Gość to bezpieczny i spokojny. Przynieś
wiązeczkę siana i pościel mu.

RUSAŁKA.

W domu?

BABA JAGA.

Jeszcze nie stało! cóż on ma tam robić?
Odchodzi do chałupy.

RUSAŁKA

wróciwszy na chwilę do chaty, zjawia się z wiązką siana, chce właśnie uklęknąć obok Henryka, gdy ten otwiera oczy.

HENRYK.

Dobra dziewczyno! powiedz mi, gdzie je-
[stem?

RUSAŁKA.

W górach.

HENRYK.

Tak, w górach, ale proszę, powiedz,
skąd się tu wziąłem?

RUSAŁKA.

Mój przybyszu miły!
tego ja nie wiem. Lecz się nie troszcz wcale,
jak się to stało... Masz tu mech i siano,
złóż chorą głowę i wypocznij sobie.
Spokój zapewnie-ć potrzebny.

HENRYK.

Potrzebny,
o tak, masz słuszność... Daleko odemnie
odbiegł mój spokój... daleko, me dziecię!
Niespokojnie.

Lecz chciałbym wiedzieć, co się ze mną
[stało?

RUSAŁKA.

Gdybym wiedziała!

HENRYK.

Tak, ze mną -- ja myślę —
a gdy tak myślę, snem mi się to wszystko
wydaje znowu... tak, ja śnię i teraz...

RUSAŁKA.

Masz tutaj mleko... jesteś osłabiony,
musisz się napić.

HENRYK

z pośpiechem.

Tak, ja chcę się... napić...
daj, coś przyniosła.

Pije z naczynia, które mu przyniosła Rusałka.

RUSAŁKA.

Do gór nie przywykłeś.
Przychodzisz, widać, od tych ludzi z dolin
i pobłądziłeś, jak niegdyś ów strzelec,
co, po urwiskach zwinną goniąc kozę,
upadł i zginął w tem naszem ustroniu...
Lecz, zdaje mi się, że on był człowiekiem
snać z innej gliny, niźli ty...

HENRYK

który, napiwszy się, nie spuszcza z Rusałki ekstatycznie wpatrzonych w nią oczu:

Mów dalej!

O mów! twój napój pokrzepia, a jeszcze
bardziej twe słowa...

Znowu w bolesnej zadumie.

Człowiek z innej gliny—
lepszy odemnie... i tacy padają.
Mów dalej, dziecię.

RUSAŁKA.

Na cóż ci się przyda
moje mówienie? lepiej, że do studni
po świeżą wodę pobiegnę, bo, widzisz,
pył i krew szpecą...

HENRYK

błagalnie.

Zostań! o, pozostań!

RUSAŁKA

przez Henryka trzymana za rękę, stoi niezdecydowana.

HENRYK

mówi dalej:

Tym zagadkowym patrżaj na mnie wzrokiem.
Świat się odnowił w twoich oczach dla mnie—
z temi górami, z tem stadem obłoczków...
O, na tak słodkiem posłaniu mnie znowu
świat ten przywabia!... Zostań! dziecię, zostań!

RUSAŁKA

niespokojnie.

Niech się więc dzieje twoja wola... jednak...

HENRYK

gorączkowiej i jeszcze błagalniej.

Zostań! pozostań ze mną!... O, nie odchodź!
Jeszcze ty nie wiesz, nie przeczuwasz jeszcze,
czem jesteś dla mnie. O nie budź mnie, dziecię!
Widzisz, upadłem... O nie! mów ty do mnie,
bo słuchać pragnę tylko twego głosu,
który niebiańskim Bóg obdarzył dźwiękiem.
Mów, mów! dlaczego nie mówisz? Upadłem...
Już to-m powiedział... Nie wiem, jak się stało:
czy z pod nóg moich perć się usunęła?
Czy dobrowolnie-m upadł? czy wbrew woli?
słowem: upadłem! pył i żwir i trawa
padły wraz ze mną w głębinę...

Gorączkowiej.

Wiśni-m się schwycił! O tak! wiesz; to dzika
była wisienka; z skalistej szczeliny
puściła ten swój odziemek. Atoli
ja, w swojej ręce mając krzew rozkwitły,
z którego z szumem powiały różowe
listki, upadłem w bezdnie i umarłem —
i dziś nie żyję. Powiedz, że nie żyję...
Powiedz, że nikt mnie już więcej nie zbudzi...

RUSAŁKA

wahająco.

Mnie się wydaje, że żyjesz...

HENRYK.

Wiem o tem;
ale ja dawniej nie wiedziałem tego:
że śmiercią życie, a zaś śmierć jest życiem.

Znowu w zadumie.

Padłem!... tak! żyłem i padłem... Wraz ze mną
i dzwon mój upadł... ja i on, my obaj...
Czy przed nim padłem, czy też po nim? Byłoż
może odwrotnie? Któż to wie? Nikt tego
snać nie odgadnie. A jeśli odgadnie,
niczem to dla mnie... To było za życia,
a ja już teraz nie żyję...

Miękko.

Pozostań!
Ma ręka... biała... jeszcze wciąż; jak mleko
jest moja ręka i — jak ołów. Z trudem
podnieść ją mogę; ale włos twój miękki
spływa tak po niej, jak fala Betezdy...
Jakaś ty słodka! — Zostań! ręka moja
zbożna, a święta ty jesteś! ja ciebie
gdzieś już widziałem... Ale gdzie? o ciebiem
walczył... o ciebie służyłem... jak długo?...
Głos twój pragnąłem zakląć w kruszec dzwonu,
pragnąłem z złotem słonecznego święta
głos ten skojarzyć... Lecz to arcydzieło
nie udawało mi się nigdy... wówczas
płakałem łzami gorzkiemi...

RUSAŁKA.

Płakałeś?
Jak? nie rozumiem... Cóż to jest takiego
te łzy?

HENRYK

usiłuje się podnieść.

O podnieś mnie, obrazie słodki!
Tak się nachylasz ku mnie? Więc miłości
zbaw mnie ramieniem od tej twardej ziemi,
do której tak mnie przykuła ta chwila,

jakby do krzyża... Zbaw mnie, wiem, że mo-
[żesz,
ach! i od tego uwolnij mnie ciała
swą miękką dłonią: cierniami owite
to moje czoło... Precz! o precz z koroną!
Miłość... jedynie miłość...

Rusałka ułożyła go w postawie półsiedzącej.
Wyczerpany:

Tak, dziękuję!...

Czule i serdecznie:

Pięknie jest tutaj!... Dziwne, pełne szumy!
Tak zagadkowo ruszają się ciemne
ramiona sosen, ach! tak uroczyście
chwieją czołami! Baśń! o baśń to wionie,
wionie tym lasem... Szepce tajemniczo,
szemrze, szeleści, podnosi listeczek,
śpiewa w tej trawie leśnej i patrz! w mgławej,
rozwianej szacie zbliża się... wyciąga
to ramię swoje... patrz! wskazuje na mnie
bielutkim palcem... Bliżej, coraz bliżej —
już się dotyka mej skroni... mych uszu...
mego języka... mych oczu... zniknęła!
Tyś tu została... ty jesteś tą baśnią!
Baśni! pocałuj mnie!

Omdlewa.

RUSAŁKA
do siebie.

Szczególne, dziwne
są twoje słowa... nie rozumiem ciebie!

Prędko zdecydowawszy się chce odejść.

Leż, śpij spokojnie.

HENRYK

we śnie.

Pocałuj mnie, baśni!

RUSAŁKA

ze zdumieniem wpatruje się w niego. Pociemniało. Naraz przerażona woła co tchu starczy:

Babko!

BABA JAGA

niewidzialna z wnętrza chaty.

Dziewucha!

RUSAŁKA.

Wyjdź tu!

BABA JAGA.

Ty chodź do mnie!
Pomóż mi ogień rozniecić...!

RUSAŁKA.

Babusiu!

BABA JAGA

jak wyżej.

Spiesz się! Czy słyszysz?... Muszę iść dać kozie pić i wydoić.

RUSAŁKA.

Babko! chodź, dopomóż!
On już umiera babko! on umiera!

BABA JAGA

zjawia się na progu chaty; w lewej ręce trzymając donicę z mlekiem, wabi kota.

Kyciu! kyciuniu! chodź...

Wskazując na Henryka, mimochodem.

Tu niema rady!
Człek musi umrzeć, inak być nie może...
Daj ty mi spokój—tego już nie zmienisz...
Chodż tu, kyciuniu! masz doniczkę mleka...
Gdzie moja kycia?...
Chodź-ta, chodź-ta, chochliczki,
pić to mleczko z doniczki;
chodź-ta, chodź-ta, skiereczki,
jeść te świeże kromeczki!
jeść i pić tu miałby dość
sam książęcy, hrabski gość...

Około dziewięciu małych zabawnych krasnoludków płci obojga, kołysząc się, wychodzi z lasu i rzuca się na donicę.

A cicho! mówię wam!
Każdemu dam!
po kruszynie,
po drobinie!
każdemu dam łyczek!
A trzymać języczek!
Cóż to za rumory,
wy małe potwory!
Precz!
na dziś skończona rzecz!
Ludkowie! ludkowie!
Od tego tartasu aż się kręci w głowie...
A teraz idźcie.

Gnomy odchodzą do lasu tak jak przyszły. Miesiąc zeszedł; na hali po nad chatą zjawił się Kozodój: *złożywszy ręce nakształt muszli, przyłożył je do ust i jak echo naśladuje wołanie o pomoc.*

KOZODÓJ.

Ratunku! Ratunku!

BABA JAGA.

Cóż się tam stało?

Głosy *z daleka, z wnętrza lasu.*

Henryku! Henryku!

KOZODÓJ
jak wyżej.

Ratunku! hej-że ratunku! ratunku!

BABA JAGA
grożąc Kozodojowi.

Błazeńskiemi ty sztuczkami
daj se pokój z góralami!
to-ć się widzi; tłuc baniaczki
lub zagryzać biedne psiaczki,
wędrowczyki zwodzić z drogi,
aż gdzieś w bagnach stracą nogi!...

KOZODÓJ.

Pilnuj, babo, swoich włości:
wnet dostaniesz miłych gości:
Co ma gęś u swego pierza?
Ot! mydliny i balwierza!
Co gęś niesie na swej głowie?
Bakałarza, co się zowie!
Bakałarza, a w harcapie,
i księżynę z krzyżem w łapie...
Lube chłopy, miłe druhy —
niosą tu ich gęsie puchy...

Głosy
bliższe, niż poprzednio.

Henryku!

KOZODÓJ
jak wyżej.

Ratunku!

BABA JAGA.

A niech cię siarczyste!
Nauczyciela na kark mi sprowadza
i księdza!

Grożąc pięścią Kozodojowi.

Czekaj! będziesz ty pamiętał!
Gzów ja ci naślę, bąków i komarów —
tak cię pogryzą, że nie będziesz wiedział,
dokąd uciekać ze strachu.

KOZODÓJ
uciekając ze złośliwą radością.

Nadchodzą!

BABA JAGA.

Niech sobie idą — a cóż mnie do tego?

Do Rusałki, która wciąż jeszcze pogrążona w zadumie, wpatruje się w Henryka.

Idź do chałupy!... zgaś światło!... pójdziemy spać!... dalej!... prędzej!...

RUSAŁKA
ponuro, zuchwale.

Nie chcę!

BABA JAGA.

Nie chcesz?

RUSAŁKA.

Babko!
Nie!

BABA JAGA.

A to czemu?

RUSAŁKA.

Już idą po niego!

BABA JAGA.

No i cóż?

RUSAŁKA.

Nie dam! nie dam!

BABA JAGA.

Dziewko! dziewko!
Chodź! dajże pokój tej kupie nieszczęścia!
Niech sobie robią z nim, co im się widzi —
Zmarli ze zmarłym. On już musi umrzeć —
Niechże umiera! to dobrze dla niego!
Widzisz, jak dręczy to życie, jak w sercu
targa i boli.

HENRYK
we śnie.

Słońce mi uchodzi!

BABA JAGA.

Nigdy on słońca nie widział... Chodź! dalej...
Niech sobie leży!... chodź! ja dobrze radzę...
Odchodzi do szałasu.

RUSAŁKA
zostawszy sama, nadsłuchuje. Słychać głosy:

Henryku! Henryku!

Dziewczę zrywa prędko różdżkę kwitnącą i zakreśla nią naokoło Henryka krąg na ziemi, mówiąc przytem:

Pierwszy szczepku rozwinięty,
Kreślę tobą krąg zaklęty,
jak babunia mnie uczyła...
O, przybyszu, żadna siła
nie wyrwie cię z tego koła!...
Moim zostań, moim zgoła —
W twej i mojej tu potrzebie
zostań dla mnie i dla siebie...
Nie wejdzie tu nikt na świecie;
starzec, dziewczę, mąż ni dziecię.

Usuwa się w mrok.

KSIĄDZ, BALWIERZ I NAUCZYCIEL
wychodzą jeden po drugim z lasu.

KSIĄDZ.

Widzę światełko...

NAUCZYCIEL.

I ja.

KSIĄDZ.

Gdzie jesteśmy?

BALWIERZ.

Bóg to jedyny odgadnie. Ktoś znowu woła: „ratunku! ratunku!“

KSIĄDZ.

Głos mistrza.

NAUCZYCIEL.

Ja nic nie słyszę.

BALWIERZ.

Głos idzie od wirchu.

NAUCZYCIEL.

Tak, gdyby człowiek upadał ku niebu:
lecz upadamy, zda mi się, odwrotnie —
z góry w dolinę, nie z doliny w górę.
Mistrz, jak zbawienia pragnę duszy mojej,
z pięćdziesiąt sążni leży gdzieś pod nami,
a nie tam w górze.

BALWIERZ.

Cóż to do kaduka?!
Czy nie słyszycie, że ktoś z góry woła?
Jeśli to nie jest głos mistrza Henryka,
to niech ja golę brodę Rybecala —
tak, jak znam swoje rzemiosło! Znów woła.

GŁOS.

Ratunku!

KSIĄDZ.

Znowu coś woła...

BALWIERZ.

Tuż przy nas!
Nie wiem, czy będzie jakie dziesięć kroków.

KSIĄDZ.

Jestem jak z krzyża zdjęty! Moi drodzy,
dalej nie pójdę, więc mnie w imię boże
zostawcie tutaj. Choćbyście mi skórę
stłukli na miazgę, nie ruszę się z miejsca.
Nie mogę dalej... Piękna uroczystość!
Że tak się prędko skończyła! Mój Boże!
Któżby pomyślał? A ten dzwon, to dzieło
arcymistrzowskie potężnego mistrza!
O, niezbadane drogi Najwyższego,
a przytem jakże dziwne!...

BALWIERZ.

Wszak ksiądz proboszcz pytał, gdzie jeste-
Ej! po dobremu radzę: uciekajcie! [śmy?
I jak najprędzej! Wolałbym noc całą
przesiedzieć nago w gnieździe os, niż tutaj
na tej polanie! Boże nam dopomóż!
To „Srebrna-przełęcz“, a myśmy nie dalej
od domu Baby-Jagi, niż sto kroków...
Przeklęte ścierwo! precz stąd! uciekajmy!

KSIĄDZ.

Ja się nie mogę ruszyć.

NAUCZYCIEL.

Uciekajmy.
Bzdurne gadanie w grę tutaj nie wchodzi!
Żadnych czarodziejstw wcale się nie boję;
ale gorszego miejsca nie znajdziecie.
Raj tu prawdziwy dla wszelkiej hołoty,
dla przemytników, łotrów i złodziei,
tak osławiony mordem, rabuśnictwem,
że Pietr, co chciałby nabawić się pietrka,
przyszedłszy tutaj, łatwo się z nim pozna...

BALWIERZ.

Mnożyć umiecie, lecz są inne jeszcze
rzeczy, niżeli tabliczka mnożenia...
Życzę wam tego ośli bakałarzu,
byście zaznali, co to czarodziejstwo.
Ot, jak ropucha, brzydka czarownica,
co tam! w swej norze siedząc, przemyśliwa
nad nieszczęściami, ześle wam chorobę,
a jeśli macie bydło, do obory
sprowadzi dżumę: krowy, zamiast mleka,

krew dawać będą, robaków od razu
dostaną owce, a konie zawrotu;
kołtunem dotknie wam dzieci; gruczoły,
wrzody rozdziela, jeśli tylko zechce.

NAUCZYCIEL.

O, majaczycie! noc wam pomieszała
wasze rozumy, panowie! Gadacie
o czarownicach! Słuchajcie, jak jęczy...
ja-ć go widziałem na me własne oczy.

KSIĄDZ.

Kogo?

NAUCZYCIEL.

No tego, którego szukamy —
Mistrza Henryka.

BALWIERZ.

Nie, to czarownica
tak go małpuje.

KSIĄDZ.

Czarnoksięskie sztuczki!

NAUCZYCIEL.

O, to nie czary!... Dwa a dwa jest cztery,
a pięć przenigdy! I czarownic nie ma!
Za to tam leży mistrz odlewacz dzwonów —
tak, jak pożądam zbawienia mej duszy!
Patrzcie! wnet miesiąc wyjdzie z poza chmury...
Patrzcie, panowie! co?... nie mam słu-
[szności?

KSIĄDZ.

Prawda, to mistrz nasz!

BALWIERZ.

Mistrz odlewacz dzwonów!

Wszyscy trzej pędzą ku Henrykowi, odskakują od zaklętego koła i cofają się.

KSIĄDZ.

Oj!

BALWIERZ.

Oj!

NAUCZYCIEL.

Oj! oj!

RUSAŁKA

ukazuje się na chwilę, zeskakując z konaru. Następnie znika śród demonicznego śmiechu.

Ha! ha! ha! ha! ha! ha!

Chwila ciszy.

NAUCZYCIEL

zdumiony.

Cóż to takiego?

BALWIERZ.

Cóż to?

KSIĄDZ.

Coś się śmiało.

NAUCZYCIEL.

Aż mi się w oczach świeczki zaświeciły!
Wydaje mi się, że mam dziurę w głowie,
jak orzech wielką.

KSIĄDZ.

Śmiechy, czy słyszycie?

BALWIERZ.

Coś się zaśmiało i zgrzytnęło, prawda?

KSIĄDZ.

Coś się zaśmiało! Śmiech szedł od tej sosny,
co ot! się rusza w zmierzchu księżycowym.
O tam! skąd puszczyk wzleciał i zajęczał.

BALWIERZ.

A co? wierzycie teraz w czarownice?
I że coś więcej umie, niż chleb zjadać?
Bezpiecznie tutaj? Czy dreszcz was prze-
[chodzi,
tak, jak mną trzęsie? to szatańska baba.

KSIĄDZ

krzyż ująwszy, idzie ze stanowczością ku szałasowi.

Niech i tak będzie!... A choćby sam djabeł
w gnieździe tem siedział! odważnie na niego!
bożem go słowem zwyciężym; bo rzadko
podstęp szatański tak nam był widoczny,
jak dziś, gdy strącił dzwon i jego twórcę,
dzwon, sługę Boga, co był przeznaczony,
by z tej przepastnej krawędzi rozbrzmiewać
głosem pokoju i wiecznej miłości.
Jesteśmy tutaj szermierzami Pana!
Zapukam do drzwi.

BALWIERZ.

Dajcie pokój, księże!

KSIĄDZ.

Zapukam.

Puka.

BABA JAGA.

Któż tam?

KSIĄDZ.

Chrześcijanin.

BABA JAGA.

Chrześcijanin
albo poganin: czego chcecie?

KSIĄDZ.

Otwórz!

BABA JAGA
otwiera i zjawia się z palącą latarką w ręku.

No? czego chcecie?

KSIĄDZ.

Słuchaj, w imię Boga,
którego nie znasz...

BABA JAGA.

Pięknie się zaczyna!

NAUCZYCIEL.

Stul pysk, ty ścierwo! nie mów ani słowa.
Przebrana miarka, czas twój policzony!
Podły twój żywot i twe życie podłe
taką nienawiść wzbudziły w parafii,
że jeśli teraz nie wypełnisz tego,
co ci każemy, to nim kur zapieje
na twoim dachu, zanim dzień zaświta,
z dymem twe gniazdo uleci ku niebu!

BALWIERZ
wciąż się żegnając.

Złego się wzroku twojego nie boję,
kocie przeklęty! żarzą ci się ślepie:

patrz, jak chcesz, we mnie! Gdziekolwiek
[dostrzeżesz
mojego trupa czerwonemi oczy,
to nic! krzyż na nim! A teraz wypełnij
to, co ci każą! Wydaj go w te tropy!

KSIĄDZ.

W imieniu Boga, którego ty nie znasz —
mówięć raz jeszcze: daj spokój swym czarom;
przyjdź nam z pomocą. Patrz! tam człowiek
[leży,
mistrz, sługa boży, obdarzony sztuką,
co na cześć jego, a zasię na hańbę
i na przekleństwo zastępów piekielnych
władnie w powietrznych przestworzach!

BABA JAGA

w postawie opornej idzie z latarnią w ręku ku Henrykowi.

Już dosyć!
Zabierzcie sobie tego nieboraczka.
Co mnie do niego! nic mu nie zrobiłam!
Niech sobie żyje, żyje, kiedy może —
O tak! niech żyje, póki tchu mu starczy:
lecz nie na długo tchu mu pozostanie.
Zwali go mistrzem. Niedaleko zajdzie
z swojem mistrzowstwem. A niechże nam
[dzwoni
dźwięk tego dzwonu, który on zmistrzował.
Lecz macie uszy, które nic nie słyszą:
na nic wam dźwięk ten, na nic i dla niego.
On wie najlepiej czego braknie dzwonom,
wie, że najlepsze mają błędy swoje...
Weźcie te nosze, zabierzcie młodzieńca.

wielkiego mistrza! — Mistrzu mleczne liczko!
Wstańże! masz pomódz księdzu przy kazaniu,
przy biciu dzieci nauczycielowi,
a golibrodzie przy robieniu mydlin...

KSIĄDZ.

Bluźnisz kobieto bluźniercza! Zamilknij
i zwróć się z drogi piekielnej...

BABA JAGA.

Przestańcie!
Znam ja te wasze kazania... Wiem dobrze:
Zmysły to grzechy, a ziemia to trumna;
błękitne niebo to wieko na trumnie;
gwiazdy to dziurki, a słońce to znowu
wielka jest dziura do patrzenia w przestwór.
Świat by zaginął, jeśliby nie było
księży, a Pan Bóg to jest strach na wróble.
Rózgi trza na was: wywłoki jesteście
i na tem koniec.

Zamyka drzwi.

KSIĄDZ.

Djablico!

BALWIERZ.

Na Boga!
Nie trza rozzłaszczać! będzie jeszcze gorzej!

Ksiądz, nauczyciel i balwierz odchodzą z Henrykiem do lasu. Miesiąc świeci pełnym blaskiem: Cisza na polanie. Pierwsza, druga i trzecia bogunka wysuwają się ukradkiem jedna po drugiej z lasu i zaczynają korowód.

PIERWSZA BOGUNKA
szeptem.

Siostro!

DRUGA BOGUNKA.

Siostro!

PIERWSZA BOGUNKA

Księżyc biały
nad urwiste zeszedł skały;
rozsiał blask swój chłodny, siny
na przełęcze, na doliny!

DRUGA BOGUNKA.

Skąd przychodzisz?

PIERWSZA BOGUNKA.

Tam, gdzie mgławy
blask się łamie w skrach siklawy,
gdzie w promieniach fala świeci,
z szumem, z hukiem, w przepaść leci—
tam z nocnego wyszłam mroku,
z tryskających pian potoku
wytrysnęłam i do góry
przez skaliste wnikłam mury.

Zjawia się

TRZECIA BOGUNKA.

W tan idziecie, siostry moje?

PIERWSZA BOGUNKA.

Podaj-że nam rączek dwoje.

DRUGA BOGUNKA.

Skąd przychodzisz?

TRZECIA BOGUNKA.

W krąg bezpieczny,
w krąg się wiążcie, w krąg taneczny!
Tam, gdzie głazy, gdzie opoki,
staw się chowa, staw głęboki,
w nim lśni gwiazdek rój promienny!
Niby klejnot drogocenny,
z tego stawu wyszłam łona...
Moja suknia wysrebrzona:
wnet sukienkę srebrną zwinę
i w miesięczną tę godzinę
nad przełęcze, po nad szczyty,
przywionę tu przez błękity!

Zjawia się

CZWARTA BOGUNKA.

Siostry!

PIERWSZA BOGUNKA.

Siostry! dalej w tany!

WSZYSTKIE RAZEM.

W krąg rozwiany, rozszeptany!

CZWARTA BOGUNKA.

Od tych łąk, co kwitną kwiatkiem,
oderwałam się ukradkiem.

PIERWSZA BOGUNKA.

Wijcie, wiążcie wy się w tany!

WSZYSTKIE RAZEM.

W krąg rozwiany, rozszeptany!

Błyska się. Grzmot słychać w oddali.

RUSAŁKA

ręce zarzuciwszy na tył głowy, staje nagle w drzwiach szałasu w postawie zapatrzonej, oblanej światłem miesiąca.

Hola! elfy!

PIERWSZA BOGUNKA.

Cyt! ktoś woła...

DRUGA BOGUNKA.

Ktoś mi suknię rozdarł zgoła...
Precz ty stary!

RUSAŁKA.

Dajcie rękę!

TRZECIA BOGUNKA.

Aj! ktoś rozdarł mi sukienkę!...
Już się wiąże, już się splata...
Srebrny wianek, mgława szata!

RUSAŁKA.

Dajcie rękę! idę w tany,
w krąg rozwiany, rozszeptany!
Srebrna elfko! lube dziecię,
popatrz na mą suknię przecie:
srebrne nitki w mej sukience,
wprzędły mi je babki ręce.
Ty ciemnawa, spojrz co żywo
na mych ciemnych członków dziwo!
Ty złocista! miej ochotę
błysnąć na me włosy złote!
Gdy podrzucę je do góry,
mgieł jedwabnych masz purpury,

a gdy na me liczko zlecą,
szczerozłotą falą świecą!

WSZYSTKIE RAZEM.

Wijcie, wiążcie wy się w tany,
w krąg rozwiany, rozszeptany!

RUSAŁKA.

Dzwon do wody upadł na dno —
mówcie, gdzie go znaleźć snadno?

WSZYSTKIE RAZEM.

Wijcie, wiążcie wy się w tany,
w krąg rozwiany, rozszeptany!
Ni lubystki, ni kwiatuszka
niezabudki nasza nóżka
nie dotknie się, idąc w tany,
w krąg rozwiany, rozszeptany!

KOZODÓJ

zjawia się w podskokach. Grzmot staje się głośniejszy. Podczas następnych wyrazów silny deszcz pada.

Niezabudki i lubystki —
w ziemię wdepcę kram ten wszystki;
bryzga błoto, chrzęszczy trawa,
taka, elfy, ma zabawa!
Huzia! tryku! tryk! me dzieci!
Byk, parskając w owies leci,
a za bykiem krowa ryczy
kark wyciąga w ślad ten byczy.
Na ogiera karem ciele
mucha sprawia swe wesele —

Z muchą-mężem mucha-żona.
A naokół zaś ogona
w tan miłosny idą pary —
Komarzyce i komary.
Hej! ty siwy parobasie!
Czy dziewczyna ci na czasie?
Gryzie ciepły gnój w oborze,
miękkie będzie twoje łoże!
Hola! huzia! że aż miło
tak z szeptami się skończyło:
Lodu pękło już okrycie,
ciepłe, głośne idzie życie!
Mruczy kocur, miauczy kotka,
jastrząb, szczygieł, karaś, płotka,
zając, jeleń, kur i kurka,
kuropatwa i przepiórka,
bocian, żóraw, grzebielucha,
motyl, żaba, wesz, ropucha,
w życie wżywa się w tym czasie
i do syta wykocha się...

Obejmuje jedną z bogunek i ucieka z nią do lasu. Inne bogunki się rozpierzchają. Na polanie pozostaje samotna Rusałka zamyślona. Burza, grzmot, deszcz przechodzi.

WODNIK

wydostaje się ponad krawędź studni.

Brekekeks —!
Brekekeks —!
Co ty tam widzisz?

RUSAŁKA.

Luby wodniku! taka jestem smutna —
ach! taka smutna!

WODNIK

filuternie.

Brekekeks! Na które oko?

RUSAŁKA.

Na lewe. Czybyś mi nie wierzył?

WODNIK.

I owszem, owszem...

RUSAŁKA

dotyka palcem lewego oka.

Spójrz, co to być może?

WODNIK.

A o czem myślisz?

RUSAŁKA.

O tem, co mam w oku.

WODNIK.

A co masz w oku? pokaz ino tutaj.

RUSAŁKA.

Padła mi na nie gorąca kropelka.

WODNIK.

Ej! z nieba? chodź tu, niech ci się przy-
[patrzę!

RUSAŁKA

pokazując mu na palcu kropelkę łzy.

Biała, bielutka, czyściutka kropelka!
O, popatrz tylko!

WODNIK.

Niech ją!... Jaka ładna.
Chcesz to ją wezmę i piękną kropelkę
schowam dla ciebie w różową muszelkę.

RUSAŁKA.

Dobrze! na krawędź studni ci położę...
Ale mi powiedz: co też to być może?

WODNIK.

Cudny dyament. W skrach tego kamienia
lśni wszystko szczęście, lśnią wszystkie cier-
[pienia:
łzą się nazywa.

RUSAŁKA.

Łzą? A mnie się marzy,
że łza ta drobna ściekła po mej twarzy...
Wiem już, co znaczą łzy!... O, proszę-ć o to,
mów-że cośkolwiek...

WODNIK.

Chodź do mnie, me złoto.

RUSAŁKA.

Na co? bez tego przecie-ć się obędzie...
Mokre, zmurszałe twej studni krawędzie,
pełno pająków, stonóg... wstręt mnie bierze,
gdy na was wszystkich patrzę.

WODNIK.

Żal mi szczerze.

RUSAŁKA.

I znowu taka kropla.

WODNIK.

Deszczu pora!
W oddali widać błyski mistrza Tora!
Jak najniklejsze drganie ócz dzieciny,
pada mu z brody fijołkowo-siny
ogień, przez zbite przeświecając chmury.
Oblany światłem patrz! kruk czarnopióry,
jak tknięty szałem, zatacza się w locie;
towarzysz błyskań w obłoków szarocie,
te skrzydła swoje w nawałnicy myje.
Spójrz! jak spragniona matka-ziemia pije,
jak drzewo, trawa, mucha, gad wszelaki
patrzy z radością w te światła zygzaki!
Kworaks! *(Piorun.)* W dolinie! Dobrze, mi-
Zapala sobie ofiarne pożary! [strzu stary!
Młot jego płonie! i światłość się szerzy
na mil dwanaście tysięcy! Mur wieży
zachwiał się, pękły dzwonnicze wiązadła
i smuga dymu z wnętrza się wykradła...

RUSAŁKA.

E słuchaj! proszę, daj-że temu spokój!
Co wiedzieć pragnę — o tem mi prorokój!

WODNIK.

Brekekeks! Mały wróbelek! nie!... żmija,
głaszcz ją, a ona żądłem ci się wpija!
Cóż to za sposób? Czyń, co chcesz, tej
[ziębie,
a za to jeszcze dostaniesz po gębie.
Nie mam słuszności? Cóż ci mam powiedzieć?
Znowu się dąsa...

RUSAŁKA.

Nic już! Cicho siedzieć...

WODNIK.

Nic już?

RUSAŁKA.

Nic!

WODNIK.

Przemów słówko, nie bądź głazem.

RUSAŁKA.

Chciałabym uciec od was wszystkich razem.

Z oczami łez pełnemi zapatrzyła się w dal.

WODNIK

boleśnie, natarczywie.

Cóż ci zrobiłem? Czego ci nie staje?
Chcesz, ty szalona, iść tam! w ludzkie kraje?
Ostrzegam ciebie! Człowiek to istota,
co tu jedynie z przypadku się mota.
Z tego on świata i nie z tego świata!
W połowie tutaj, a w drugiej połowie
gdzie on?—nikt chyba tego się nie dowie!
Z nas się urodził, pół naszego brata,
a pół nam obcy, wrogi i stracony!
Biada, kto rzuca gór swobodne strony
i w to przeklęte idzie pokolenie,
co, zapuściwszy słabiutkie korzenie,
przecież je niszczy, jakgdyby w obłędzie,
w samym zarodku, i w tak wątłym pędzie,
chore już w rdzeniu, wystrzela do góry
jako kartofel w piwnicy ponurej.
Ród rozemglony, wciąż ku światłu bieży,
a nie zna słońca, tej swojej macierzy.

Powiew, co pieści źdźbła w wiosenną porę,
z łatwością łamie latorośle chore...
Nie idź! daj spokój! nie pchaj się do ludzi!
bo młyński kamień szyję ci utrudzi.
Oni cię w mgławe uwikłają mroki —
tutaj się śmiejesz, a tam łez potoki!
Do pleśnej księgi przykuta, bez końca
będziesz, jak oni, dźwigać klątwę słońca.

RUSAŁKA.

Babka mówiła, że ty mędrzec prawy —
patrz na strumyki, na twoje siklawy:
najmniejszy ruczaj w tych górach nie płyni,
ażeby nie parł ku ludzkiej dziedzinie —
chce przeć i musi...

WODNIK.

Lecz nie ty, me dziecię!
Bacz, co ci powie ten, co tysiąclecie
trwa już; niech sobie płyną te służalce
prać ludziom płótno, młyńskie kręcić walce,
zraszać kapustą sadzone ogrody
brr! i pochłaniać, nie wiem co, w swe wody

Namiętnie.

Ty moja królewna! ty moja zazula!
Rusałeczko luba, będziesz żoną króla!
Sam kryształ zielony jest w mojej koronie:
włożę ci ją w sali, która złotem płonie,
gdzie kamień błękitny w posadzce, w powale,
a szafy i stoły to szczere korale.

RUSAŁKA.

A choćby sam szafir był w tym dyademie,
niechaj twe córki zdobią nim swe ciemię!

ja wolę złocisty blask moich warkoczy —
to moja korona, a nie bardzo tłoczy.
Choć z samych korali szafy twe i stoły,
przy rybach, przy krzeczkach żywot niewesoły,
przy kworaks i kworaks, w trzcinie, w męt-
[nej wodzie,
w bagnisku i w studni, w tym chłodzie i smro-
[dzie.

Chce odchodzić.

WODNIK.

Dokąd, Rusałko?

RUSAŁKA.

Cóż cię to obchodzi?

WODNIK

dobitnie.

Brekekeks! bardzo!

RUSAŁKA.

Tam, gdzie mi się widzi.

WODNIK.

Gdzie ci się widzi?

RUSAŁKA.

O tak! tam i owdzie!

WODNIK.

Co? tam i owdzie?

RUSAŁKA

podrzucając ramionami w górę.

I do kraju ludzi!
Ucieka i ginie w lesie.

WODNIK
w najwyższem przerażeniu.

Kworaks! *Jękliwie.*
Kworaks!
Cicho. Kworaks!
potrząsając głową: Brekekeks!

Koniec aktu pierwszego.

AKT DRUGI.

Dom odlewacza dzwonów Henryka. Izba w stylu staroniemieckim. Połowa tylnej ściany tworzy głęboką nyżę, w której znajduje się kominek z kapturem. Po nad zimnemi węglami wisi kocioł miedziany. Druga, naprzód wysunięta połowa ściany ma okno z staroniemieckiemi szybami, pod oknem łóżko.

W każdej z ścian bocznych znajdują się drzwi: po lewej stronie prowadzą do warsztatu, po prawej do sieni. Z przodu na prawo: stół i krzesła. Na stole: dzban mleka, kubek i bochenek chleba. Niedaleko od stołu miednica. Izbę zdobią obrazy Adama Krafta, Piotra Vischera i t. d. przedewszystkiem zaś wizerunek Ukrzyżowanego, malowany na drzewie.

Dwaj synkowie Henryka, jeden lat pięć, a drugi dziewięć, siedzą w świątecznych ubraniach przy stole, mając przed sobą kubki mleka.

Pani Magda również ubrana świątecznie, wchodzi do izby z prawej strony z wiązanką kluczyków — pierwiosnków w ręku. Pora wczesnego rana. Jasność się wzmaga.

MAGDA.

Patrzcie, dziateczki, co ja mam! znalazłam
całe ich gniazdo zaraz za ogrodem.
Więc, jak przystało, możemy się wszyscy
na to ojcowskie przyozdobić święto.

PIERWSZY CHŁOPIEC.

Mnie...

DRUGI CHŁOPIEC.

Mnie bukiecik.

MAGDA.

Każdy z was dostanie
po pięć kwiatuszków, choć, trzeba wam wie-
[dzieć,
jeden już starczy do otwarcia niebios.
Wypijcie mleczko, zjedzcie chleb i idźmy.
Daleka, stroma droga do kościoła.

SĄSIADKA

puka.

Pani sąsiadko! czyście wstali?

MAGDA.

Juści!
Oka przez całą nie zmrużyłam nockę,
lecz, że nie troska czuwać mi kazała,
więc jestem świeża, całkiem wypoczęta,
jak świszcz! Dziś będzie, zdaje się, pogoda.

SĄSIADKA.

I owszem, owszem.

MAGDA.

A pójdziecie z nami?
Radzę wam bardzo. Iść się będzie dobrze —
tak podług taktu tych maleńkich nóżek,
no, a zbyt prędko biegnąć nie będziemy,
choćbym wolała, mówię wam, sąsiadko,
mieć raczej skrzydła, niż podążać pieszo:
tak prze mnie radość i ta niecierpliwość.

SĄSIADKA.

A czy nie wrócił nocą wasz małżonek?

MAGDA.

Cóż wam się zdaje? będę już kontenta,
jeżeli dzwon już będzie na swych belkach,

kiedy się gmina zgromadzi w kościele.
Czas był przykrótki... Trza się było spieszyć,
na żadną sobie nie pozwolić folgę...
Jeśli mój Henryk miał choćby godzinę,
by się położyć w trawie i przymrużyć
zmęczone oczy, dość powodu dla mnie,
aby dziękować Bogu. Cóż to znaczy!
Wielki był mozół, lecz większa nagroda.
Nie uwierzycie, jak zbożnie i czysto,
jak dziwnie dźwięcznie nowy dzwon roz-
[brzmiewa.
Zważajcie tylko, jak dziś po raz pierwszy
głos swój podniesie! to istna modlitwa!
to śpiew anielski! szczęście i pociecha!

SĄSIADKA.

I owszem, owszem. Lecz jedno mnie dziwi.
Wiecie, sąsiadko, że od mojej przyzby
widać kościołek na górach. Mówili:
powiewać będzie biała chorągiewka,
skoro na wieży ten wasz dzwon zawieszą...
Białej chorągwi wcale dziś nie widać.

MAGDA.

Wytężcie lepiej wzrok, a zobaczycie!

SĄSIADKA.

Nie! nie! z pewnością...

MAGDA.

A choćbyście nawet
mieli i słuszność, nie wiele to znaczy.
Gdyby wam było tak, jak mnie, wiadomo,
ile to trzeba włożyć w takie dzieło

trudu i troski, jak to dniem i nocą
musi się taki zastanawiać majster,
jak się natęża, głowę sobie łamie,
nie byłoby wam dziwno, że tak zaraz,
tak na sekundę, wedle obrachunku,
nie tkwi ostatni gwoździk we wiązadłach...
Może już teraz chorągiew powiewa?

SĄSIADKA.

Nie zdaje mi się... We wsi całej mówią,
że tam na górze nie ze wszystkiem dobrze.
Widziano także źle wróżące znaki.
Kuba z Podgórza ujrzał, jak na dziku
naga kobieta pędziła przez zboże.
Kamieniem rzucił na tę czarownicę
i zaraz ręka uschła mu po kłykieć...
Opowiadają, że złe duchy w górach
rozgniewały się z powodu nowego
dzwonu; mnie dziwno, że wy nic nie wiecie,
wójt z wielu ludźmi poszedł już na miejsce...
Mówią...

MAGDA.

Co mówią? że wójt poszedł z ludźmi?
Boże!...

SĄSIADKA.

To wszystko jeszcze nic nie znaczy.
Wieści niepewne, troska więc przedwczesna.
Nie trza się wzruszać... O, nie czyńcie tego!
Nic tu nie słychać jeszcze o nieszczęściu.
Wóz, powiadają tylko się połamał
i coś się stało z dzwonem, co, nie wiedzieć!

MAGDA.

Nic to takiego! Dzwon dzwonem... Zapewne!
Byleby tylko mistrz pozostał w zdrowiu.
Nawet wiązanki nie odepnę z piersi.
Lecz, że nie można wiedzieć nic pewnego,
proszę, zabierzcie do siebie dziateczki.

Podnosi jednego i drugiego chłopca i przez okno podaje sąsiadce.

Weźmiecie?

SĄSIADKA.

Owszem, wezmę je do siebie.

MAGDA.

A więc zabierzcie je z sobą do domu,
gdyż ja biedz muszę, biedz, co sił mi star-
[czy,
aby zobaczyć — pomódz — wiem ja sama,
co czynić trzeba? wiem jedno, że muszę —
wybiega
być tam, gdzie mistrz mój...

Sąsiadka odchodzi od okna. Słychać szmer ciżby, a następnie głośny, rozdzierający krzyk Magdy. *Do izby wchodzi ksiądz z pośpiechem i wzdychając ociera sobie oczy. Rozgląda się po izbie, a następnie odkrywa łóżko. Wraca pośpiesznie ku drzwiom i tutaj spotyka się z noszami, na których leży* Henryk; *niosą go* balwierz *i* nauczyciel.

Henryk *leży na świeżych gałęziach, za noszami wchodzi* Magda *obraz najsmutniejszej ruiny, zmartwiała, odchodząca od zmysłów, bez czucia.*

Prowadzi ją chłop i kobieta. Za nią lud się ciśnie do izby. Henryka *kładą na łóżko.*

KSIĄDZ
do Magdy.

Odwagi, niewiasto!
Wezwijcie Boga na pomoc. Na nosze
gdyśmy go kładli, był już, jak umarły,
lecz w drodze zmysły odzyskał, a lekarz,
który go widział, zapewnia, że jeszcze
nie trzeba tracić nadziei.

MAGDA.

Nadzieja!
Boże na niebie! Jedna tylko chwila!
A tak szczęśliwą byłam! Cóż się ze mną
stało? cóż tutaj się dzieje?! Gdzie dzieci?!

KSIĄDZ.

Wezwijcie Boga! Cierpliwości, pani!
Tak! cierpliwości i pokory! Zawsze
Pan Bóg tem bliżej, im większe nieszczęście!
Lecz gdy On w swojej postanowił radzie,
że już nie wróci doczesne to zdrowie,
to niechaj jedno będzie wam pociechą:
mąż wasz do wiecznej odchodzi radości.

MAGDA.

Cóż ty mi, księże, o pociesze mówisz —
czyż mnie potrzeba pociechy? On będzie
zdrowy!... On musi wyzdrowieć.

KSIĄDZ.

Tak, miejmy —
miejmy nadzieję. Gdy się to nie stanie,

stanie się zawsze według woli bożej.
Tak czy tak będzie: mistrz nasz tryumfuje.
By Najwyższemu służyć, dzwon swój odlał
i w Najwyższego służbie poszedł w góry,
gdzie ciemne moce władną niezmożone —
tam, gdzie przepaście urągają Bogu!
I w Najwyższego służbie on też upadł:
w walce przeciwko chytrym duchom piekieł,
które, wesołej bojąc się nowiny,
jaką miał głosić jego dzwon, złączone
w bractwo piekielne, przeciw niemu właśnie
złość swą zwróciły... Lecz Bóg ich ukarze.

BALWIERZ.

Jest tu niewiasta w naszej okolicy,
co czyni cuda, co leczy modłami,
jak ongi Zbawcy czynili uczniowie.

KSIĄDZ.

Trza jej poszukać, a gdy ją znajdziecie,
to przyprowadźcie ją do tego domu.

MAGDA.

Cóż się z nim stało? Co się przyglądacie?
Precz! to bezbożna ciekawość, nic więcej!
Nie dotykajcie się go waszym wzrokiem!
Prześcieradłami go przykryjcie. Oni
mordują mistrza, a co najmniej — brudzą!
Tak: teraz idźcie do komedjantów
idźcie, gdy chcecie tak wytrzeszczać ślepie!
Co się z nim stało? Czy niemi jesteście?

NAUCZYCIEL.

Trudno to zbadać, co się z mistrzem stało.
Czy chciał podtrzymać dzwon, gdy dzwon
[upadał?

To jedno pewnem: gdybyście spojrzeli
z krańca przepaści, gdzie dzwon począł spa-
[dać,
uklęklibyście, by dziękować Bogu —
bo cud prawdziwy, że ten człowiek żyje...
Mówię to szczerze...

HENRYK

słabo.

Podajcie mi wody!

MAGDA

z błyskawiczną szybkością.

Wynoście mi się!

KSIĄDZ.

Poczciwi ludkowie!
idźcie! tu spokój potrzebny.

Ludzie odchodzą.

Jeżeli
będzie mnie trzeba, kochana majstrowa,
wiecie, gdzie jestem.

BALWIERZ.

I ja.

NAUCZYCIEL.

Ja bo myślę
pozostać tutaj.

MAGDA.

Nikt! nikt!

HENRYK.

Daj mi wody.

Ksiądz, nauczyciel i balwierz *odchodzą po krótkiej naradzie, wzruszając ramionami i kręcąc głową.*

MAGDA
spiesząc z wodą ku Henrykowi.

Czuwasz, Henryku?

HENRYK.

Mam pragnienie. Daj mi
wody. Nie słyszysz?

MAGDA
mimowolnie.

Cierpliwości!

HENRYK.

Magdo! —
tobie się dzisiaj ćwiczyć w cierpliwości,
ja się zbyt wcześnie jej nauczę... Chwilkę —
chwilkę masz jeszcze być cierpliwą.

Pije.

Dzięki!

MAGDA.

Ach mój Henryku! nie mów tak, ach! nie
[mów!
trwoga mnie chwyta, kiedy tak przemawiasz.

HENRYK
gorączkowo.

Ty nie powinnaś się trwożyć, ty musisz
żyć, żyć bezemnie.

MAGDA.

Nie mogę!... ja nie chcę
żyć już bez ciebie.

HENRYK.

Dziecinną twa boleść.
Nie dręcz mnie dłużej... boleść to niegodna!
Wszak jesteś matką... Pojmij-że ten wyraz,
całą treść jego — zapanuj nad sobą.

MAGDA.

Ach! nie bądź teraz dla mnie zły i twardy

HENRYK
udręczony.

Twardem nazywasz i złem to, co prawdą.
W łóżeczku dzieci leży to, co twego...
Tam twoje szczęście, twe życie, twa troska—
wszystko, co twego, leży w tej pościeli —
byłoby zbrodnią, gdyby tak nie było!

MAGDA
rzuca się na niego.

Tak mi dopomóż Boże! Ja cię kocham
nad nasze dzieci, nad siebie, nad wszystko.

HENRYK.

A zatem biada! biada wam sieroty!
I mnie po trzykroć biada, bom skazany
na to, by kraść wam od ust chleb i mleko,
ale ja czuję, że na mym języku
w jad się przemienia ten pokarm. To dobrze!
Żegnaj mi! żegnaj! tak czy tak się stanie!
a pod opiekę Temu was oddaję,
któremu nikt z nas nie ujdzie! Dla wielu
śmierci głęboki cień był pożądanem
światłem — i dla mnie niech tak samo bę-
[dzie.

Czule.

Podaj mi rękę... Nieraz cię skrzywdziłem,
słowem i czynem, zraniłem twą miłość
niejednokrotnie: przebacz mi dziś, Magdo.
Wbrew własnej woli, nie mogłem inaczej!
Kto mnie do tego przymuszał, ja nie wiem!
lecz bezustannie coś mnie przymuszało,
by dręczyć ciebie, a przez to i siebie.
Przebacz mi, Magdo!

MAGDA.

Tobie mam przebaczyć?
Co? O, Henryku, jeżeli mnie kochasz,
nie mów tak do mnie, bo mi łzy pociekną...
Łaj mnie, to lepiej. Ty wiesz, czem mi jesteś.

HENRYK
w męczarni.

Nie wiem.—

MAGDA.

Tyś wziął mnie, podniósł, tyś człowieka
uczynił ze mnie. Żyłam tu uboga,
nieoświecona, trwożna jak pod szarem,
chmurą deszczową zaciągniętem niebem:
tyś mnie przywabił, porwał, ku rozkoszy
ty mnie podniosłeś i nigdym ja bardziej
twojej miłości nie czuła, niż wówczas,
kiedyś mi czoło surową odwracał
ręką od zmroku ku światłu... A teraz
mam ci przebaczać? przebaczać to wszystko,
za com ci winna całe życie moje?

HENRYK.

Dziwnie się plącze ludzkich dusz przędziwo!

MAGDA
gładząc mu włosy, czule.

Jeśli ci kiedy przydałam się na co,
jeślim ci w domu albo we warsztacie
skróciła jaką godzinkę, jeżeli
oku twojemu nie byłam nie miłą...
pomnij, Henryku: ja, co z całej duszy
chciałabym, widzisz, nie wiem co ci oddać,
tem ci jedynie odpłacić się mogłam.

HENRYK
niespokojnie.

Magdo! umieram... to dobrze... I dobrze
Bóg to zarządził, bo gdybym żył, Magdo!...
Nachyl się ku mnie... Ty mniemasz, żeś
[kwitła
i dla mnie kwitła, żem ja do rozkwitu
pobudził ciebie! Mylisz się! To sprawił
ten Cudotwórca wieczny, który jutro
w wiosennym gaju pościna biczyskiem
wichrów zimowych miljon miljonów
świeżego kwiecia... Lepiej dla obojga,
jeżeli umrę. Widzisz: stary byłem,
zgniły i zwiędły — lichą byłem formą...
Nie żal mi tego, że Odlewacz dzwonów,
który nie stworzył mnie lepszym, odrzuca
teraz swe dzieło... A że z taką mocą
strącił mnie w przepaść w ślad za mojem
[lichem
dziełem, to dzięki mu za to! Tak, Magdo!
Złe było dzieło moje! dzwon, co upadł
w otchłań, dla wyżyn nie był on stworzony!
nie byłby dzwon ten budził ech po wirchach.

MAGDA.

Tak wysławiane, nienaganne dzieło!
Ani jednego pryszczyka w metalu,
a dźwięk tak czysty!... „By chóry anielskie,
śpiewa dzwon mistrza“—tak mówili wszyscy
gdy, zawieszony pomiędzy drzewami,
swój uroczysty podniósł głos ku niebu...

HENRYK
gorączkowo.

W dolinie dźwięczy, nie w górach...

MAGDA.

Nie prawda!
Gdybyś był słyszał tak, jak ja, proboszcza,
kiedy wzruszony rzekł do kościelnego:
„jak on wspaniale będzie dźwięczał w górach!“

HENRYK.

W dolinie dźwięczy, nie w górach... Ja tylko
wiem to! Ksiądz nie wie!... Umrę i chcę
[umrzeć!
Bo, widzisz, dziecię: gdybym znów wyzdro-
[wiał,
gdyby mnie znowu tak, jak się to mówi,
majster Partacki połatał od biedy,
że w sam raz byłbym do ciupy szpitalnej,
albo też wiem ja, do czego, to widzisz,
mogłoby znaczyć li tyle, co życia
gorący trunek — nieraz był on gorzki,
czasami słodki, ale zawsze silny,
gdy ja go piłem — co życia gorący
zamieniać trunek na jakiś wodnisty,
przestały, zimny, kwaskowaty cienkusz.

Komu smakuje, niech go sobie pije!
We mnie ten wywar wstręt z daleka budzi...
Milcz. Słuchaj dalej... Gdybyś mi lekarza
przywiodła tutaj, któryby mnie znowu
umiał do dawnej uzdatnić radości,
do dawnej pracy, jak stal zahartować —
i wtedy jeszcze, Magdo, koniec ze mną!

MAGDA.

Więc, na Chrystusa! powiedz mi człowieku,
skąd przyszło na cię takie nawiedzenie?!
Ty, niebieskiemi obsypany dary,
mistrz w swojej sztuce, ukochany wszędzie
i wysławiany wszędzie! Ze sto dzwonów
z raźną, wesołą odlałeś skrzętnością:
Z stu wież brzmią one dzisiaj twoją chwałą,
jak z czar, tak duszy twej głębokie piękno
leją na pola i łąki! W wieczoru
krew purpurową, w bożego poranku
złoto się mieszasz... Bogaczu, co tyle
dać z siebie możesz! O ty głosie Boga,
coś wchłaniał w siebie li szczęśliwość dawcy
i nic, nic więcej, gdy my na łaskawym
byliśmy chlebie żebraczych udręczeń!
Na dzieło swoje patrzysz z niewdzięcznością!
Jakżeż mnie możesz nakłaniać do życia,
co ciebie wstrętem przejmuje? Henryku,
czem ono dla mnie? Czem ono być może,
jeśli ty nawet sam je precz od zucasz,
jak stary szeląg!

HENRYK.

Nie pojmuj fałszywie!
A teraz sama tak mi zadźwięczałaś

dźwiękiem głębokim i czystym, jak dotąd
żaden z mych dzwonów, choć tylem ich ulał!
Ty musisz lepiej mnie pojąć... Powtarzam:
nie udało się me ostatnie dzieło...
Z ścieśnionem sercem wlokłem się za nimi,
gdy klnąc i niszcząc pchali dzwon ku wyży,
i, widzisz, dzwon mój stoczył się w głębinę,
w przepaść na jakie sto sążni się stoczył
i leży w stawie... Tam! w jeziorze górskiem
leży ostatni owoc mojej siły
i mojej sztuki... Całe życie moje
lepszego z siebie nie dało owocu
i dać nie mogło... więc je strąciłem
w ślad za mem dziełem chybionem... Dziś
[życie
leży w jeziorze, gdy ja tu przeżuwam
jedynie resztki posępnego bytu...
Nie żal mi straty, to żal mi jej znowu —
to jedno tylko pewnikiem już dla mnie:
dzwon mój nie wróci i życie nie wróci!...
A że do tego wszystką lgnę tęsknotą,
by znów usłyszeć pogrzebane tony,
biada! me życie w ten sposób pojęte,
to wór zgryzoty, skruchy i szaleństwa,
żółci i octu, ciemności i błędu.
Ale ja tak go nie pojmę... Doliny
już mnie nie nęcą, ażeby im służyć;
cisza ich wrzącej krwi mej nie ukoi,
ak było ongi! od owej godziny,
gdym był na szczycie, wszystko, co jest we
[mnie,
rwie się ku wyżom, pragnie śród błękitów
kroczyć nad morzem sinych mgieł i dzieła

z szczytów jedynie wysnuwać potęgi...
A że ja, będąc takim, jakim jestem,
wykonać tego nie mogę, więc więdnę,
a że chcąc znowu wejść na szczyt męczący,
upadłbym znowu, więc wolę umierać...
Aby żyć dalej, musiałbym odmłodnieć,
z gór bajecznego dziwo-kwiecia nowy
musiałbym owoc wydać — o tak, inny
z innego kwiecia owoc. W sercu swojem
musiałbym znowu uczuć siły rzeźwość,
jędrność w ramionach i żelazo w żyłach
i do nowego rzutu, do nowego
niesłychanego dzieła rozszalałą
żądzę zwycięscy!

MAGDA.

Henryku! Henryku!
Gdybym ja mogła znaleźć, czego pragniesz —
gdybym wiedziała zdrój, którego woda
powraca młodość, z krwawiącemi pięty
biegłabym po nią... Tak! chociażbym nawet
śmierć miała znaleść w tym cudownym
[zdroju!
byleby tylko młodość dał twym wargom!

HENRYK

udręczony w gorączce.

Droga! najdroższa! Nie! ja nie chcę tego...
Zatrzymaj napój... krew! li krew w tym
[zdroju!
Nie chcę!... daj spokój... pozwól mi umierać...

Mdleje.

KSIĄDZ
wraca do izby.

Jakżeż tam, pani majstrowa?

MAGDA.

Ach! strasznie!
Strasznie! do głębi wnętrza jest on chory...
Jakieś cierpienie niewypowiedziane
tak go rozkrusza!... Nie wiem, czego bać się
i jaką żywić nadzieję...
Z pośpiechem zarzuca chustkę na siebie.
Wspomniałeś,
księże proboszczu, o jakiejś kobiecie,
co cuda czyni...

KSIĄDZ.

Tak jest! po tom przyszedł.
Mieszka — zaledwie ztąd o jaką milkę,
a zwie się — zwie się — jakże ona zwie się?
Tak! — za granicą... tak... w jodłowym boru
mieszka, a zwie się... zwie się...

MAGDA.

Baba Jaga?

KSIĄDZ.

Co wy mówicie? to zła jest kobieta,
oddana czartu, która umrzeć musi...
Tłum się już zbroi przeciw temu djabłu..
Niosą pochodnie, kije i kamienie —
idą, by koniec jej zadać — jej bowiem
wszystkich tych nieszczęść przypisują winę...
Nie, ta niewiasta, którą mam na myśli
zwie się Ziółeczko, wdowa po owczarzu,

co jej prastarą zostawił receptę
o dziwnej mocy leczniczej, jak wielu
zapewnia ludzi... Czy chcecie pójść ze mną?

MAGDA.

Tak! przewielebny księże!

KSIĄDZ.

I to zaraz?

RUSAŁKA

wchodzi z jagodami w przebraniu służebnej dziewki.

MAGDA.

Czego chcesz, dziecię?... kim jesteś?

KSIĄDZ.

To Hanka
z michasiowego szałasu... Daremne
wasze pytania: głuchą jest niestety!
Przyniosła dla was jagody... A zresztą
dobre stworzenie...

MAGDA.

Chodź tu, moje dziecię!
Czego ja chciałam? Patrz! tam chory czło-
[wiek...
Gdy się obudzi, stań na zawołanie.
Czy ty rozumiesz, co mówię?... Ziółeczko,,
tak, zdaje mi się, nazywa... Lecz droga
zbyt to daleka, ja odejść nie mogę...
Na dwa momenty... pójdę do sąsiadki —
ta mi to zrobi — powrócę natychmiast
i, jak powiadam... Boże! jak ja cierpię!

Wychodzi.

KSIĄDZ.

Postój chwileczkę... Albo jeszcze lepiej —
siadaj tu przy nim. A bądź mi roztropną
i pożyteczną, dopóki potrzebną
będziesz w tym domu. Cny uczynek spełniasz,
Bóg cię nagrodzi... Zmieniłaś się bardzo,
odkąd widziałem cię po raz ostatni.
Pozostań zacną, pobożną dziewicą,
gdyż Bóg cię wielką obdarzył pięknością...
Zaprawdę, dziewczę! gdy tak na cię patrzeć,
tyś to i nie ty. Jak królewna z bajki,
tak ty mi naraz wyglądasz... Przenigdy
nie przypuszczałbym tego... Słuchaj dzie-
[wczę:
skroń mu ochładzaj!... Czy ty mnie rozu-
[miesz?
On jest w gorączce...

Do Henryka.

Wróć ci Boże zdrowie!

Wychodzi.

RUSAŁKA

dotychczas nieśmiała i pokorna, teraz zmieniona i gorączkowo zajęta przy kominie.

Idzie na cię dech żywota:
trzeszcz w popiele, iskro złota!
Wiej, czerwony wietrze, wiej!
I ja jestem dzieckiem kniej!
Świszcz i gwiżdż i śpiewaj.

Na kominie wybuchł ogień.

Kocioł rusza się, jak żywy,
cięży na nim miedź pokrywy!

pień się, trunku, wrzej i pień,
ugotuj się w dobry dzień...
Świszcz i gwiżdż i śpiewaj...

Podniósłszy pokrywę kotła, bada jego zawartość.

Ziół majowych pęk woniący
sypię w napój ten gorący:
kto go pije, będzie żył
świeży, zdrowy, pełen sił!...
Świszcz i gwiżdż i śpiewaj!...
A teraz ćwikły naskrobię, a potem
przyniosę wody... Lecz nasamprzód trzeba
otworzyć okno... Pięknie dziś — lecz jutro
dzień będzie wietrzny; jak ryba olbrzymia,
leży na górach długi obłok... jutro
on się rozpęknie i duchy szalone,
mknąc po przepaściach i jodłowych borach,
spadną z poszumem na niziny ludzi.
„Kukuk!“ kukułka i tu „kukuk“ woła!
Śmigłe jaskółki szybują w powietrzu,
przez które dzień się przedziera z swem
[światłem.

HENRYK

otworzył oczy i zdumiony przygląda się Rusałce.

Teraz ot ćwikły naskrobię, a potem
przyniosę wody... A że już służebną
muszę być dziewką, więc mam dużo pracy,
A tylko, luby płomyku! rób swoje!

HENRYK.

Kto... powiedz, kto ty jesteś?

RUSAŁKA.

Ja? Rusałka!

HENRYK.

Rusałka? Nigdy nie słyszałem w życiu
tego imienia... Alem cię gdzieś widział —
gdzież to być mogło?

RUSAŁKA.

W górach.

HENRYK.

A tak! prawda!
Tam, gdzie leżałem w gorączce. Tak! wów-
[czas
śniłem o tobie, a teraz... śnię znowu.
Nieraz przedziwne mamy sny... Nie prawda?
To moja chata? tam się ogień pali
na mym kominie; ja w mem łóżku leżę
śmiertelnie chory... Okno!... tam na dworze
śmiga jaskółka, w ogrodzie śpiewają
wszystkie słowiki; woń bzu i jaśminu
przypływa ku mnie... ja to wszystko czuję,
widzę to wszystko... do źdźbła najmniej-
[szego...
W tkaninie kołdry, która mnie okrywa,
każde włókienko widzę... na włókienku
każdy węzełek, a przecież śnię tylko!

RUSAŁKA.

Śnisz?... ejże! skądby?

HENRYK.

Stąd, że śnię.

RUSAŁKA.

Czyś tego
tak pewny?

HENRYK.

Tak... nie... tak... nie... Co ja mówię?
Już się nie zbudzić! Czym tak pewny tego?
ty mnie się pytasz? Niech to, co chce, będzie,
sen albo życie: ja czuję i widzę,
żeś jest! że żyjesz! We mnie, czy poza
[inną!
o duchu słodki! płodzie własnej duszy,
dla mnie powstały! Nie mniej kocham ciebie!
Ach! tylko zostań!

RUSAŁKA.

Tak długo, jak zechcesz.

HENRYK.

Przecież to sen jest.

RUSAŁKA.

Uważaj: podnoszę
swą małą nóżkę... Czy widzisz czerwony
obcas? Tak? Patrzaj! to laskowy orzech.
Biorę go teraz tak pomiędzy wielki
i wskazujący palec... i — pod obcas.
Trzask! — rozłupany! Czy to sen?

HENRYK.

Bóg jedeu
raczy to wiedzieć!

RUSAŁKA.

Teraz znów uważaj:
idę do ciebie, siadam na twem łóżku —
siedzę i zjem ten orzeszek... Za ciasno-ć?

HENRYK.

Nie! ale powiedz, skąd przychodzisz?...
[powiedz,
kto cię tu przysłał? Czego szukasz u mnie?
u złamanego człowieka, u garści
bólu i nędzy — u mnie, co już dzisiaj
kres drogi swojej na chwile odmierzam?

RUSAŁKA.

Podobasz mi się... Nie wiem skąd przychodzę
ni dokąd zdążam... Widzisz, baba-leśna
gdzieś mnie znalazła na mchach i łopianach,
a wykarmiła mnie łania... Moczary,
lasy i góry to moja ojczyzna.
W wietrze, gdy szumi i huczy i wyje,
gdy jak kot dziki i miauczy i mruczy,
chętnie się kręcę i mknę po przestworzach.
Tak się raduję, tak się wówczas śmieję
aż się odbija, aż mech, nimfa, wodnik
mało nie pękną ze śmiania... Zła jestem,
drapię i gryzę, jeśli się rozzłoszczę:
a niech się strzeże, ktoby mnie rozgniewał!
Nie wiele lepiej także, jeśli całkiem
dają mi spokój, bom ja zła lub dobra,
jak tam wypadnie, jak mi przyjdzie humor.
Lecz ciebie lubię... Ciebie nie podrapię...
Chcesz, to zostanę, ale lepiej będzie,
jeśli ty ze mną pójdziesz w moje góry —
Zobaczysz tylko, jak ci służyć będę!
Pokażę tobie, gdzie w wiecznem ukryciu
leżą dyamenty, topazy, szmaragdy
i ametysty — wszystko, co rozkażesz,
co tchu wypełnię... A choć ja niegrzeczna,

krnąbrna, leniwa, całkiem nieposłuszna —
tobie na rzęsy będę uważała,
nim co zapragniesz, już ja powiem: dobrze!
Wiesz — baba-leśna mówi...

HENRYK.

Drogie dziecię
Ta baba-leśna, któż to? powiedz, proszę...

RUSAŁKA.

Kto baba-leśna?

HENRYK.

Tak.

RUSAŁKA.

Co? ty jej nie znasz?

HENRYK.

Jestem człowiekiem i ślepcem.

RUSAŁKA.

Niebawem
przejrzysz! Bo taka dana mi jest władza,
że kogo tylko pocałuję w oczy,
temu je zaraz otwieram na wszystkie
dale niebieskie...

HENRYK.

Więc i mnie je otwórz.

RUSAŁKA.

A czy zachowasz się spokojnie?

HENRYK.

Sprobuj.

RUSAŁKA.
całuje go w oczy.

Oczy, otwórzcie się!...

HENRYK.

Zjawisko słodkie,
dla mnie w ostatniej zesłane godzinie!
Różdżko kwitnąca, gdzieś w dalekiej wiośnie
zerwana Boga ojcowską prawicą!
Dziecię swobody! Gdybym ja był dzisiaj
czem byłem dawniej, w pierwszym dniu mej
[drogi,
jeżżebym ciebie przycisnął do piersi!
O! ślepy byłem! dzisiaj, pełen światła,
mocą przeczucia po ten świat twój sięgam.
Tak! w miarę tego, jak cię wchłaniam
[w siebie,
jak się upajam tobą, zagadkowy,
luby obrazie, uczuwam, że widzę!...

RUSAŁKA.

Ej! więc patrz na mnie, ile ci się zechce.

HENRYK.

Jakże jest pięknym ten twój włos złocisty!
O najmilejszy z moich snów! przez ciebie
statek Charona zmienia się dziś dla mnie
w barkę królewską, którą purpurowe
kierują żagle na tor uroczysty —
ku porannemu słońcu, ku wschodowi...
Czujesz ty zachód? ten jego przecichy
czujesz początek? Jak on muska białe,
opadające piany tych niebieskich
rozkołysanych fal południowego

morza — jak on nas obryzguje czystą,
dyamentową świeżością, czy czujesz?
A my — spowici w złoto i jedwabie,
błogiej nadziei pełni, odmierzamy
dal, co nas dzieli: ach! ty wiesz, od czego,
bo ty zieloną rozpoznajesz wyspę,
brzóz ciężkie sploty widzisz, jak spływają
do świetlnych głębin błękitnej kąpieli...
Ty radość słyszysz wiosennych śpiewaków,
co tam czekają na nas.

RUSAŁKA.

O, tak! słyszę!

HENRYK
zapadając w sen.

Teraz jam gotów... a gdy się przebudzę,
ktoś mnie zawoła: chodź ze mną! I potem
zagaśnie światło... Tutaj chłód panuje.
Człowiek widzący tak samo umiera
jako i ślepiec. Ale jam cię widział —
i...

RUSAŁKA
z ceremoniami.

Niech cię snu ogarnie zdrój!
Gdy się zbudzisz, będziesz mój...
teraz myśli wróżbnych siła
oby ciebie ocaliła.

Zajęta przy kominie.

Zaklęte skarby światła spragnione!
o, tam w głębinach nie świecą one!
Sfora płomiennych psów darmo szczeka,
przed mężną sztuką, wyjąc, ucieka.

Za to my rade służebnej doli:
ten naszym panem, kto nas wyzwoli.

Z giestami ku Henrykowi.

Raz, dwa, trzy! już odnowionyś,
a w odnowieniu ocalonyś.

HENRYK.

Cóż to się ze mną zdarzyło?... Z jakiego
snu się ja budzę? Jakiego poranku
wciska się słońce przez okno otwarte,
rękę mi złocąc! O ranne powiewy!...
Jeśli, niebiosa. waszą to jest wolą,
jeśli ta siła, co działa przezemnie —
to płomieniste, nowe wrzenie w piersi,
zrodziło-li się na znak waszej woli,
to chciałbym znowu, raz jeszcze powstawszy,
na drogę zejścia zwrócić swoje kroki,
raz jeszcze pragnąć, dążyć, mieć nadzieję
i tworzyć, tworzyć...

Wchodzi Magda.

HENRYK.

Magdo! to ty jesteś?

MAGDA.

Czy się obudził?

HENRYK.

Magdo! tyżeś tutaj?

MAGDA

przeczuciowo radośnie.

Jak ci jest?

HENRYK.

Dobrze... ach! dobrze!... Żyć będę... Czuję, że będę żył...

MAGDA
z niepohamowaną radością.

On żyje! żyje!
O mój najdroższy! Henryku! Henryku!

RUSAŁKA
stoi na uboczu z świecącemi oczyma.

Koniec aktu drugiego.

AKT TRZECI.

Opuszczona huta szklana w górach niedaleko żlebów śniegowych. Na prawo, z naturalnej skały, zastępującej mur, sączy woda rurą glinianą do kamiennego rezerwoaru. Na lewo lub przy ścianie tylnej: piec kowalski z kapturem i miechem. Na lewo w tyle, przez otwór, przypominający wrota stodoły, widać okolicę górską: szczyty, trzęsawiska, lasy świerkowe, a na najbliższym planie widać strome urwiska.

Kozodój, którego widać już było z zewnątrz huty zanoszącego pień świerkowy na znajdujący się przed hutą stos, wchodzi, wahając się, i rozgląda się naokoło.

Wodnik wchyla się po piersi z obok stojącej studni.

WODNIK.

Chodź tu! brekekeks!

KOZODÓJ.

To ty?

WODNIK.

Ja?... Z tą sadzą,
Z tym dymem djabli sobie nie poradzą.

KOZODÓJ.

Czy wylecieli?

WODNIK.

Kto?

KOZODÓJ.

No. oni!

WODNIK.

Pewnie!
Byliby tutaj przy dymiącem drewnie.

KOZODÓJ.

Rogaczam spotkał z siekierą i piłą.

WODNIK.

Cóż ci powiedział?

KOZODÓJ.

Że drzesz się aż miło!

WODNIK.

Mógł sobie uszy zatkać...

KOZODÓJ.

„Wiesz“ — tak rzeknie —
„skrzeczy i skrzeczy, mało się nie wście-
[knie.“

WODNIK.

Łba mu nakręcę.

KOZODÓJ.

Zrób to, zrób!

WODNIK.

Ot, w ciemię
palnę go razem z tamtym.

KOZODÓJ.

Wstrętne plemię!
Pcha się nam w góry, kopie i buduje,
dobywa metal, rozjarza i kuje!...
Od Rybecala większa to potęga!

Jak nic, wodnika do swej taczki wprzęga!
Z nimf najpiękniejsza kocha tego człeka —
my na to patrzeć musimy z daleka...
Ona nam kradnie kwarc, w złoto bogaty,
bursztyn żywiczny, drogi kamień, kwiaty...
Dzień i noc całą tylko jemu służy,
wciąż go całuje, a na nas się chmurzy.
Cóż mu się oprze? Nic! Padają drzewa,
ziemia drży cała, każdy żleb rozbrzmiewa
echem uderzeń, gdy on młotem wali...
Ciągły się ogień w jego kuźni pali
i rzuca odblask aż do mej jaskini...
Djabli go wiedzą, czego on nie czyni!

WODNIK.

Żeś mu też, brachu, wtedy nie dogodził.
Byłby się teraz na dnie stawu chłodził —
tam, gdzie dzwon jego ma wygodne leże!
Ej! do gry w kostki dobre jego kości —
dzwon byłby kubkiem — zagrałbym ze
[złości!

KOZODÓJ.

Do stu kołtunów! wierzę, bardzo wierzę!

WODNIK.

Teraz on zdrowy i silny! tak kuje
tym swoim młotem, że ja tchu nie czuję!
Płaczliwie.
Wciąż pierścioneczki jej robi i sprzączki,
pieści jej piersi, usteczka i rączki...

KOZODÓJ.

Na pysk mój capi! Cóż to za natura!
Że tam go trochę świerzbi do niej skóra,

tak zaraz staruch zwarjowany beczy.
Dla niej po prostu Wodnik nie do rzeczy!
Słuchaj! miej rozum: nie chce cię nieboże,
świat jest szeroki i głębokie morze:
złap sobie jaką bogunkę i dalej!
niby ten basza pohulaj, poszalej!
Nie żałuj sobie!... W końcu to się stanie,
że nie obleci ciebie ich kochanie!

WODNIK.

Ja go uśmiercę!

KOZODÓJ.

Ona aż szaleje!

WODNIK.

Przegryź mu gardło!

KOZODÓJ.

Porzuć te nadzieje!
Mieć jej nie będziesz! Babka przy nim stoi,
a ona gniewu twego się nie boi...
We wielkich łaskach u niej czuła para...
kto ma nadzieję, ten niechaj się stara
mieć i cierpliwość... Taka moja rada.

WODNIK.

Przeklęte słowo! niech wszystko przepada!

KOZODÓJ.

Czas idzie swoim torem — porzuć smutki!
Człowiek człowiekiem, a szał bywa krótki.

RUSAŁKA

poza sceną nadchodzi, śpiewając.

Siedział chrząszczyk na drzewinie
bz! bz!

w czarnobiałej sukienczynie,
bz! bz!

RUSAŁKA
na scenie.

Ej! co za goście! ej! ej! dobry wieczór!
A przepłukałeś mi złoto, Wodniku?
A czy przyniosłeś mi smreczyny, luby
mój Kozodojku? Patrzcie jak cudnemi
obładowana-m różnościami. Skrzętne,
o bardzo skrzętne jest stworzonko ze mnie.
Tu kryształ górski, a tu mam dyament,
a tutaj z pyłkiem złotym jest woreczek,
tu plaster miodu!... O, dzień to gorący!

WODNIK.

Po dniu gorącym idzie noc gorąca!

RUSAŁKA.

Być może! Zimna woda to twój żywioł,
Zanurz się w wodzie i ochłodź się nieco.

WODNIK
zanurza się milcząco i znika.

RUSAŁKA.

Tak dokazuje, aż się trza rozzłościć!...

KOZODÓJ
wciąż jeszcze ze śmiechem.

A! do stu koni... Niech cię!...

RUSAŁKA.

Na kolanie
zsunęła mi się podwiązka i gniecie.

KOZODÓJ.

Jeśli chcesz tylko, to ci ją rozluźnię.

RUSAŁKA.

A toś się wybrał! Idź! idź! Kozodojku!
Przynosisz z sobą smród i tyle muszek,
że mnie obsiadły, niby obłok gęsty.

KOZODÓJ.

Wolę ja muchy, niżeli motyle,
co obsianemi pyłem skrzydełkami
natrętnie krążą naokoło ciebie
i cisną ci się w usta lub we włosy,
a w noc do biódr się lepią i do piersi.

RUSAŁKA
śmiejąc się.

Patrzcie go! patrzcie! no, no! dobrze! do-
[brze!

KOZODÓJ.

Wiesz co, Rusałko? daruj mi to koło!
Skąd ono? powiedz!

RUSAŁKA.

Lepiej wiesz odemnie,
łobuzie jeden!

KOZODÓJ.

Gdybym był nie złamał
wozu, na którym wieźli dzwon, sokolik
nie byłby teraz w twoich sidłach. Wdzięczną
bądź mi więc za to, daruj mi to koło —
Napojonemi żywicą powrozy

wskroś je okręcę i tak, podpaliwszy,
z najstromszej ściany, jaką tylko znajdę,
strącę je na dół... To będzie zabawa!

RUSAŁKA.

A po wsiach ognie!

KOZODÓJ.

Tak! czerwone ognie —
ofiarne ognie i wichry czerwone!

RUSAŁKA.

Nie! nie! nic z tego! idź precz, Kozodojku!

KOZODÓJ.

Czy tak ci spieszno? Czy mam iść napraw-
[dę?
Powiedz mi tylko, co twój mistrz porabia?

RUSAŁKA.

Nad swojem dziełem pracuje!

KOZODÓJ.

Ej, szczytne
będzie to dzieło — szczytne i rarytne.
Dniem pożądanie, nocą kochanie:
takie to dzwonu jest odlewanie!
Wirch ku dolinie, ta ku wirchowi
i arcydzieło wnet się ułowi:
pół mi się bogiem, pół zwierzem widzi,
ziemi jest chwałą, niebo zeń szydzi:
chodź, boguneczko! chodź-że w leszczynę,
w tem, co on może i ja się zwinę!

Z nim, tak jak ze mną—cóż ci to szkodzi:
z ciebie zbawiciel się nie urodzi!

RUSAŁKA.

Bydlę! z tchu mego ślepota cię czeka,
gdy wybranego lżyć będziesz człowieka,
co chce was wyrwać z pod klątewnej mocy,
gdy tak swym dzwonem wydzwania po nocy!
Albowiem tutaj ciężka klątwa gniecie
was, mnie i wszystko, co żyje na świecie.
Zostań! bezsilną twoja jest potęga:
duch mistrza władnie pośród tego kręga.

KOZODÓJ.

Pozdrów małżonka! O to się nie pytam!
I ja w szyb jego kiedyś też zawitam.
Odchodzi ze śmiechem.

RUSAŁKA.

Cóż mi się stało? ciężko mi i duszno!
Do niedalekich śnieżnych pól pospieszę —
chłód jest w jaskini... Zielona i zimna
woda roztopów pewnie mnie orzeźwi!...
Cóż mi się stało? Nadeptałam żmiję,
co na zielonym grzała się kamieniu
i ukąsiła mnie w wirchowych złomach.
Ach! jak mi ciężko!... cyt!... kroki!... ktoś
[idzie!

KSIĄDZ
w stosownem ubraniu, prawie bez tchu z utrudzenia, zjawia się przed drzwiami.

Tu, mości Pianko! za mną! za mną w górę!
Trud był niemały, lecz teraz pod sobą

grunt już mam dobry... przytem z woli bożej
jam to przedsięwziął, i, jeśli ocalę,
jak dobry pasterz, to jagnie zbłąkane,
stokrotna będzie za trud mój zapłata!
Tylko odważnie naprzód! Jest kto tutaj?
E! to ty jesteś? więc się nie myliłem.

RUSAŁKA
blada, złośliwie.

Czego tu chcecie?

KSIĄDZ.

Dowiesz się wszystkiego!
I to natychmiast—świadkiem Bóg na niebie!
Niechże się tylko troszeczkę wysapię—
niech tylko z potu trochę się osuszę!
Nasamprzód powiedz, dziecię: jesteś sama?

RUSAŁKA.

Nic się tu nie masz do pytania!

KSIĄDZ.

To wcale nie źle! nie źle! Tym sposobem
od razu prawe odsłaniasz oblicze:
a więc tem lepiej! to mi niejednego
oszczędzi trudu... Ty!

RUSAŁKA.

Człeczyno, strzeż się!

KSIĄDZ.

Nic mi nie zrobisz! czyste moje serce —
czyste i silne! nie strach mi niczego!
Ten, co odwagi dodał członkom moim,

żem się ośmielił dojść do tej jaskini —
Ten stoi przy mnie!... Czuję to! Djablico!
nie próbuj ze mną zuchwałości swojej
i zalotnicy sztuczek nie trwoń ze mną!
Tyś go w swe góry zwabiła!...

RUSAŁKA.

Ja? kogo?

KSIĄDZ.

Mistrza Henryka! Kogoż by innego?
Czarodziejskiemi sztuczkami, słodyczą
trunków piekielnych tak go przynęciłaś,
że ci się poddał, jak pokorna psina.
Mąż — taki dzielny, ojciec, wzór prawdziwy!
cny i pobożny do głębi!... O Panie!
spotka go pierwsza lepsza dziewka z drogi,
zagarnie w fartuch i poniesie z sobą,
gdzie jej się widzi, na wstyd i na hańbę
tej powszechności chrześcijańskiej!

RUSAŁKA.

Rabusiem
przecież nie jestem! Nic ci nie zabrałam!

KSIĄDZ.

Nic nie zabrałaś? Czelna ladacznico!
Nie tylko żonie, mnie i dzieciom jego —
tyś go zabrała wszemu człowieczeństwu!

RUSAŁKA
nagle zmieniona, w tonie tryumfalnym.

Ej! popatrz tylko! spojrzyj, kto tam idzie!
Swobodnych jego kroków czy nie słyszysz

dźwięcznej harmonii? Marność twego lżenia
czyliż wciąż jeszcze w radość się nie zmie-
[nia?
Czyż nie przenika ciebie ten Baldera
ogień, co z jego źrenicy wyziera?
Trawka się cieszy, gdy on ją swą nogą
zdepce i złamie! Król idzie tą drogą.
A ty, żebraku, czy się nic radujesz?
Eja! jucheja! mistrzu bądź pozdrowion!

HENRYK

w malowniczym stroju roboczym, z młotem na ramieniu. Zbliża się z Rusałką pod rękę i poznaje księdza.

Witajcie, księże! witajcie!

KSIĄDZ.

Bóg z wami,
mój ukochany mistrzu! Czyż być może!
siły aż kipią! krzepki on i smukły,
jak buczek młody...' a przecież niedawno
leżał na łożu choroby, zmęczony,
blady i słaby, prawie bez nadziei!
Wydaje mi się, jak gdyby nad wami
miłości bożej wszechpotężny oddech
w jednej się chwili zlitował, że dzisiaj,
obiema nogami wyskoczywszy z łoża,
umielibyście tańczyć, jak król Dawid,
uderzać w cymbał i śpiewać i wielbić
waszego Pana i waszego Zbawcę!

HENRYK.

Prawdę mówicie!

KSIĄDZ.

Toż cudem jesteście!

HENRYK.

I to jest prawdą!... wszystkie moje zmysły
cud mi przenika! Idź! oblubienico,
naszego wina daj sprobować księdzu!

KSIĄDZ.

Dzięki! nie teraz! nie dnia dzisiejszego!

HENRYK.

Idź-że, idź! przynieś! ręczę: dobre wino!
Ale jak chcecie!... Proszę was, usiądźcie...
Od owej chwili, kiedym się otrząsnął
z hańby słabości, pierwszy raz się schodzim
w tej tak radosnej, wieczornej godzinie...
Nie spodziewałem się, że was pierwszego
powitam tutaj, na tem spornem polu
mego działania... Podwójnie się cieszę:
Widać to przecież, że moc posiadacie
i powołanie, miłość... Silną pięścią
rwiecie mordercze powrozy urzędu,
aby uciekać precz od służby ludzkiej
i szukać Boga!...

KSIĄDZ.

Dzięki Bogu! dzięki!
Dawnego we was czuję znów człowieka!
Kłamią ci ludzie, co krzyczą w nizinach,
żeście zmieniony, inny, niźli dawniej...

HENRYK.

Jestem tym samym, a także i innym...
Otwórzcie okna: światła nam i Boga!

KSIĄDZ.

Dobra sentencya!...

HENRYK.

Z znanych mi najlepsza.

KSIĄDZ.

Znam ci ja lepsze, lecz i ta jest dobra.

HENRYK.

Jeżeli chcecie podajcie mi rękę!
a ja na kura, łabędzia i końską
przysięgam głowę, że z całej was duszy
jak przyjaciela przyjmę, że na oścież
otworzę bramy wiosny mojej duszy.

KSIĄDZ.

Otwórzcie! proszę; wszak mnie dobrze zna-
[cie.

HENRYK.

Tak, znam was! znam was! a gdybym i nie
[znał,
gdyby przedemną w masce przyjaciela
siedziała podłość: serce me dziś pełne
chęci rzucania swych skarbów: wszak złoto
zawsze jest złotem i nie zginie nawet
w brudnem śmiecisku dusz donosicielskich.

KSIĄDZ.

Mistrzu! powiedzcie mi, proszę, co znaczy
ta szczególniejsza przysięga?

HENRYK.

Na kura
i na łabędzia?

KSIĄDZ.

I na końską głowę?

HENRYK.

Jak mi to na myśl wpadło, sam ja nie wiem...
Zda mi się, kurek na waszym kościele,
co na wierzchołku wieży w słońcu błyszczy
i głowa końska na Maćkowym szczycie,
oraz ten łabędź, co zginął w błękitach —
to albo tamto myśl tę nasunęło:
Zresztą, to wszystko jedno... Jest już wino...
W najistotniejszem więc znaczeniu słowa
piję na zdrowie: moje, twe i wasze.

KSIĄDZ.

Dzięki i tylko odpowiedzieć mogę,
że zdrowia życzę wam uzdrowionemu.

HENRYK.

Jestem uzdrowion — tak! i odnowiony...
Dziś to po wszystkiem czuję—po mej piersi,
co się tak zrywa do rozkosznych, siły
pełnych oddechów, przyczem tak mi błogo,
jakby się wiosny cisnęła potęga
do mego serca... Czuję po żelaznem
ramieniu mojem, czuję po tej ręce,
co, jak krogulcze szpony, ku powietrznej
tak się otwiera pustce i zamyka,
niecierpliwości pełna, pełna żądzy
twórczego czynu!... Czy w ogrodzie moim
widzicie, księże, tę świątynię?

KSIĄDZ.

Nie wiem,
o czem myślicie...

HENRYK.

Tam! to drugie cudo!

KSIĄDZ.

Nic ja nie widzę.

HENRYK.

Mówię o tem drzewie,
co jest—jak owa wieczorna, kwitnąca
chmurka, gdyż na nie dzisiaj bóg Freir spły-
[nął.
Dziwnie głębokie, przerozkoszne szumy
leją się na was, gdy pod niem stoicie;
zbieraczy miodu niezliczone roje
krążą z żądliwym pobrzękiem naokół
wonnego kwiecia! Czuję, że dziś jestem
jako to drzewo! Jak w gałęzie jego,
tak też bóg Freir spłynął w moją duszę
i ta od razu zapłonęła kwieciem!
Niech się więc pszczoły gromadzą spragnione.

KSIĄDZ.

I owszem... dalej!... chętnie was posłucham,
chełpcie się tylko — wy i wasze drzewo,
ale u Boga, czy owoc dojrzeje?

HENRYK.

Tak, przyjacielu! cóż nie jest u Boga?
Dwadzieścia sążni w przepaść on mnie strą-
[cił
i on mnie podniósł, że dziś oto kwitnę!
Z niego kwiat idzie i owoc i wszystko!
Lecz wy go proście, aby błogosławił
latu!... Zaprawdę! to, co rośnie we mnie,

godne jest tego by się rozwinęło,
godne, ażeby dojrzało... Wierzajcie!
Nigdy o lepszem nie myślałem dziele:
Z przecudownego kruszczu dzwon grający,
który sam z siebie wysnuwa swe dźwięki.
Gdy dłoń, jak muszlę do uszu przyłożę
i nadsłuchuję, to pieśń jego słyszę —
gdy zamknę oczy, najczystszego wzoru
kształt mi za kształtem staje tak wyraźnie,
że tylko chwytać rękami. Patrzajcie!
tego, co dzisiaj przypadło mi w darze,
śród niewymownych szukałem udręczeń,
kiedyście mistrzem zwali mnie szczęśliwym,
a dzisiaj jestem szczęśliwym i mistrzem!

KSIĄDZ.

Lubię, gdy inni mistrzem was mianują,
ale się dziwię, gdy wy tak mówicie...
Ale — dla której świątyni to dzieło?

HENRYK.

Dla żadnej.

KSIĄDZ.

Ej-że! a któż je zamówił?

HENRYK.

Ten sam, co, patrzcie! rozkazał tej jodle,
by tak wspaniale wzrosła nad przepaścią...
Wierzcie: kościołek przez was zbudowany
częścią się spalił, a częścią się rozpadł.
Dlatego pragnę tu, na tej wyżynie
nowy położyć fundament — zaprawdę!
nowy fundament pod nowy przybytek!

KSIĄDZ.

O mistrzu! mistrzu! Lecz nie chcę się spie-
[rać.
Nasamprzód sądzę, że my się wzajemnie
nie rozumiemy, bo, mówiąc tak sucho...
to, co ja myślę... gdy tak przekosztowne
jest wasze dzieło...

HENRYK.

Tak, kosztowne dzieło...

KSIĄDZ.

Ten dzwon grający...

HENRYK.

Jak chcecie, tak zwijcie!

KSIĄDZ.

Wy, zdaje mi się, tak to nazwaliście!

HENRYK.

Tak ja nazwałem to, co tak się samo,
nazywać musi, chce i ma i tylko
tak zwać się może.

KSIĄDZ.

A któż wam zapłaci
za wasze dzieło?

HENRYK.

Kto mi je zapłaci?
O księże! chcecie uszczęśliwiać szczęście?
Chcecie nagradzać nagrodę? Jak chcecie,
zwijcie me dzieło, które sam nazwałem
dzwonem grającym. Lecz wiedzcie to jedno:

Żaden tum jeszcze nie miał w swej dzwo-
[nicy.
dzwonu o takiej wszechpotędze dźwięku,
równającego się pramocą swoją
grzmotom wiosennym, które hutnym rykiem
wstrząsają przestwór ponad pól zielenią;
niechaj więc głosem piorunowych trombit
do zamilknięcia zmusi dzwony wszystkich,
wszystkich kościołów i potem, w tryumfu
ton uderzywszy, niech obwieszcza światu,
że się dlań nowe narodziło światło.

* *
*

Pramatko słońce! twe i moje dzieci,
wyhodowane mlekiem twoich piersi,
i te z brunatnej wywiedzione ziemi
przez ten wieczysty strumień karmiodajnej,
ciepłej ulewy: odtąd one będą
wyrzucać z siebie przeradosne hymny
ku twym jedynie promienistym torom,
w górę, ku niebu!... Wreszcie, jak w tej zie-
[mi,
co, wczoraj jeszcze w szary śnieg zasnuta,
dzisiaj miękkiemi zielenieje łany,
tak chęć poświęceń wzbudziłoś i we mnie,
cały się tobie poświęcam, o słońce!

* *
*

O dniu światłości, w którym po raz pierwszy,
z hal marmurowych mej kwietnej świątyni,
rozbudzający wyszedł grzmot — o święty
dniu, w którym z wnętrza szarego obłoku,
co nas przygniatał całą długość zimy,

upada znowu szumny deszcz klejnotów,
po które sięga milion rąk spragnionych,
aby, spalone czarodziejską siłą
tych drogocennych kamieni, od razu
ponieść do chat swych te skarby bogate:
a tam, jedwabne chwyciwszy chorągwie,
które czekają na nie — ach! od kiedy?—
idą pielgrzymką słoneczni pielgrzymi,
na wielkie święto.

* * *

O księże! to święto!
Znacie przypowieść o zbłąkanym synu:
to matka-słońce gotuje to święto
swym marnotrawnym dzieciom. Ogarnięte
powiewających chorągwi szelestem,
tłumy te śpieszą do mego kościoła!
I ten cudowny dzwon mój, dzwon grający,
dźwięków wabiących słodkim dźwięczy żarem,
że każde łono łka radosnym bólem:
pieśń zapomnianą śpiewa i przebrzmiałą
pieśń stron ojczystych, kołysankę lubą,
z baśni głębokich zaczerpniętą źródeł —
wszystkim tak znaną, a niewysłuchaną...
A gdy rozpocznie tajemniczo, tęsknie
i boleściwie rozbrzmiewać boleścią
pieśni słowiczej, to znów rozgruchanych
gruchem gołębi, wówczas piersi ludzkich
pękają lody, wówczas gniew i zawiść,
złość i ból we łzach topnieją gorących.—
I tak stajemy wszyscy u stóp krzyża
i, we łzach jeszcze, radosne wznosimy
hymny do góry, gdzie — wreszcie! słoneczną

zbawiony mocą w wszystkich czasach wiosny zstępuje ku nam promienny, wieczystej pełen młodości, uśmiechnięty młodzian.

Wśród wzrastającego polotu natchnienia ostatnie słowa wymawia Henryk *ekstatycznie, a teraz przechadza się wzruszony.* Rusałka, *drżąc z miłości i upojenia, ze łzami w oczach, towarzyszy mu w tej przechadzce i całuje go po rękach.* Ksiądz *przysłuchuje się słowom Henryka ze wzmagającemi się oznakami zgrozy. Przy końcu stara się opanować. Po chwili milczenia zaczyna mówić z wymuszonym spokojem, który jednakże prędko znika.*

KSIĄDZ.

Teraz, kochany mistrzu, jam was słyszał
i wszystko to się potwierdza na włosek,
co mi z stroskanem powiedzieli sercem
najszanowniejsi ludzie mojej gminy,
a nawet baśń ta o grającym dzwonie.
O! mnie to wszystko boli po nad wyraz!
Lecz dajmy spokój górnolotnym słowom.
Przyszedłem do was tak, jak tutaj stoję,
nie, że spragniony jestem waszych cudów,
lecz, by wam pomódz w tej waszej niedoli.

HENRYK.

W mojej niedoli? Więc jestem w niedoli?

KSIĄDZ.

Zbudźcie się, człeku! zbudźcie! śpicie bo-
[wiem
snem najstraszliwszym, z którego na wieczny

ból się ockniemy... Jeśli się nie uda zbudzić was słowem bożem, to na wieki zgubiony jesteś, na wieki, Henryku!

HENRYK.

Nie zdaje mi się...

KSIĄDZ.

Jakże stoi w Piśmie?
„Ślepotą razi Bóg, kogo chce zgubić.“

HENRYK.

Jeśli to jego zamiarem, wy Boga
nie powstrzymacie! Lecz jeślibym dzisiaj
ślepym się nazwał, dziś, gdy jestem pełen
ducha bożego, niby hymn natchniony,
dziś, kiedy, leżąc na rannym obłoku,
dalą niebieską upajam zbawioną
źrenicę swoją — dzisiaj byłbym godzien,
aby gniew boży raził mnie w tej chwili
wieczną ciemnością...

KSIĄDZ.

Za wysoki dla mnie,
mistrzu Henryku, wasz polot. Zwyczajnym
jestem człowiekiem, jestem dzieckiem ziemi,
na górnopiennych ja się nie znam rzeczach:
jedno wiem tylko, czego wy nie wiecie:
wiem, co jest prawo, a co jest bezprawie,
wiem, co jest dobre, a co złe...

HENRYK.

I Adam
nie wiedział tego w raju...

KSIĄDZ.

Puste słowa
i bez znaczenia... Nieprawości swoich
nie pokryjecie niemi... Żal mi bardzo,
wolałbym tego nie mówić: wszak macie
żonę i dzieci...

HENRYK.

Co więcej?

KSIĄDZ.

Kościoła
unikasz, mistrzu! uciekasz w te góry
i miesiącami nie wracasz do domu,
gdzie żona tęskni, gdzie dziateczki twoje
wciąż tylko piją łzy matki.

HENRYK
po dłuższem milczeniu wzruszony.

O księże!
Gdybym ja umiał te jej łzy osuszyć,
jakżebym chętnie to uczynił, księże!
Ale nie umiem. Nieraz się tem biedzę
w zastanawiania posępnej godzinie,
lecz zawsze czuję, że na jej katusze
nie mam lekarstwa... ja, com jest miłością,
com się odrodził w miłości, próżnego
nie umiem, księże, napełnić kielicha
z nadmiaru bogactw moich, gdyż me wino
zmienia się dla niej w ocet, w żółć, w tru-
[ciznę.
Czyż może człowiek, który, zamiast palców,
sępie ma szpony, głaskać łzą zroszone
oblicze dziecka? Bóg niech tu pomaga!

KSIĄDZ.

Prawdziwy obłęd! obłęd to przeklęty!
Tak powiedziałem... I oto, mój mistrzu,
stoję przed wami, przerażony jeszcze
zatwardziałością waszej duszy!... Szatan
przebrał się w maskę Boga i swe harce
wyprawia tutaj! Nikogo on jeszcze
w taką nie zepchnął przepaść... Wielki Boże!
Dzieło, o którem majaczycie — sami
czyż nie czujecie tego? — wasze dzieło
to najstraszniejsza zbrodnia, jaką wylągł
mózg poganina! Wolałbym modłami
na chrześcijaństwo wszystkie ściągnąć plagi,
któremi Bóg nasz zły nawiedził Egipt,
niż kiedykolwiek ujrzeć ukończony
ten Belzebuba waszego przybytek,
kościół Molocha i Baala!... Mistrzu!
zwróćcie się z drogi! do opamiętania
przyjdźcie, Henryku: bądźcie chrześcijani-
[nem!
Jeszcze to nie jest za późno! Wypędźcie
tę nędzną dziewkę! czarownicę! zmorę!
Od razu w nic się rozwieje to licho!
I wy będziecie ocalon!

HENRYK.

W gorączce
kiedy leżałem, na śmierć już skazany,
ona, przybywszy, wróciła mi zdrowie...

KSIĄDZ.

Nad takie zdrowie lepsza śmierć...

HENRYK.

Jak chcecie,
tak o tem myślcie!... Ale ja przyjąłem
to nowe życie... żyję niem i dotąd
będę jej dzięki składał, aż mnie zwolni
śmierć...

KSIĄDZ.

Koniec z wami!... koniec!... zbyt głęboko
w złem ugrzęźliście! po szyję! swe piekło
upiększyliście niebiańskiemi czary —
ono was więzi!... Nie chcę mówić dalej,
ale to wiedzcie: i dziś, tak jak ongi,
stos czarownice czeka i kacerzy...
Vox populi vox dei! wasze czyny —
te tajemnicze, te pogańskie czyny,
nie są zakryte przed nami i w okół
wzbudzają zgrozę, wzbudzają nienawiść!
Stać się to może, że wzburzenie tłumu
nie da się dalej okiełznać, że naród
w swych przenajświętszych zagrożon uczu-
[ciach,
zbiegnie się rotą i warsztat wam zburzy
i bez litości pohula!...

HENRYK
po chwili milczenia, spokojnie.

Hm!... Księże,
nie przerażacie mnie wcale... Jeżeli
z czarą chłodnego wina ja się zbliżę
do ginącego z pragnienia, a z ręki
on mi wytrąci i czarę i wino,
to niechaj ginie! Taka jego wola

i takie może jego przeznaczenie...
Nie we mnie wina! sam ja też nie pragnę,
bom pił... Lecz jeśli sam siebie oszukał,
jeśli przeciwko mnie, com jest bez winy,
co go napoić chciałem, w nienawistnym
zwróci się gniewie, tak, że muł ciemności
tryśnie do góry ku światłu mej duszy,
by mnie obryzgać: jam jest ja! wiem o tem,
co chcę i mogę! A jeśli rozbiłem
niejedną formę dzwonu, to i teraz
podniosę młot swój i ten dzwon, sklejony
sztuką motłochu z pychy, żółci, złości
i zła wszelkiego, na to, aby może
wydzwaniał właśnie pieśń na cześć głupoty
na proch mistrzowskiem zetrę uderzeniem!

KSIĄDZ.

A zatem — bądźcie zdrowi! ja skończyłem...
Niema człowieka, coby waszych grzechów
wyplenił szalej trujący... Niech litość
Bóg ma nad tobą... Ale to wam powiem:
jest wyraz jeden, co się skruchą zowie —
i dzień nadejdzie taki, w którym, słuchaj,
pośród mar twoich przeszyje cię strzała
pod samem sercem i ni żyć ty będziesz,
ani też umrzesz i przeklinać będziesz
siebie, świat, Boga, swe dzieło i wszystko!
O wówczas, wówczas pomyśl o mnie!...

HENRYK.

Księże!
Chcecie mnie straszyć widziadeł obrazem!
Mnie się to lepiej, niż wam udać może!

Wasze majaki nigdy się nie spełnią.
Zabezpieczony-m przeciw strzale waszej —
Tak, ona nawet skóry mi nie draśnie,
jak nie zadzwoni mi już nigdy, nigdy
ów dzwon—ten dawny—wiecie, co przepaści
żądny, padł w bezdnie i leży w jeziorze...

KSIĄDZ.

Mistrzu! zadzwoni! Pomyśl wtedy o mnie!

Koniec aktu trzeciego.

AKT CZWARTY.

Wnętrze huty szklannej, jak w akcie trzecim. W skale na prawo znajduje się brama wykuta, prowadząca do jaskini. Po lewej stronie huty znajduje się piec z miechem kowalskim i kapturem. Na piecu pali się ogień. W pobliżu pieca stoi kowadło. Henryk trzyma w obcęgach kawał rozpalonego żelaza na kowadle. Przy nim sześciu karzełków w strojach górniczych. Pierwszy karzeł trzyma obcęgi razem z Henrykiem. Drugi karzeł podnosi do góry ciężki młot kowalski i spuszcza go na rozpalone żelazo. Trzeci karzeł roznieca ogień za pomocą miecha kowalskiego. Czwarty karzeł przygląda się pracy z wytężoną uwagą, nieruchomo. Piąty karzeł stoi na boku i trzyma w ręku maczugę, jakby miał zamiar walić nią w żelazo. Szósty karzeł siedzi na podwyższonym tronku, w błyszczącej koronie na głowie. Na okół leżą kawały kutego i lanego żelaza: przedmioty architektoniczne, figuralne i t. p.

HENRYK.

Wal, aż ci ramię omdleje! Nie wzruszą
jęki mnie twoje, ty próżniaku marny!
Gdy przepisanej nie dotrzymasz liczby,
wnet przy kominie brodę ci opalę!

Drugi karzeł *rzuca młot.*

HENRYK.

Wiedziałem o tem, poczekaj, ty trutniu!
jeżeli grożę, to juści nie z żartów.

Henryk trzyma nad piecem wrzeszczącego i wymachującego rękami i nogami karzełka. Karzeł przy miechu pracuje z większem wytężeniem.

PIERWSZY KARZEŁ.

Nie mogę, mistrzu! ręka mi drętwieje!

HENRYK.

Idę!.. *Do drugiego karła:* A teraz masz siły,
[karzełku!

DRUGI KARZEŁ

kiwa głową z żarliwością i radością, chwyta młot i rozpoczyna na nowo kuć żelazo, ile tylko może.

HENRYK.

A! do siarczystych! trza was trzymać w ry-
[zie!

Bierze znowu obcęgi do ręki.

Żaden by kowal nie wykuł podkowy,
gdyby chciał robić korowody z wami.
A! po raz pierwszy ledwie to uderzy
i zaraz myśli, jakby już dać spokój!
A cóż dopiero, ażeby się zdobyć
na te tysiączne sztuczki, których zacny
rzut się domaga! Kuj! i wal! gorące
tylko żelazo gnie się, zimne nigdy!
Co ty tam robisz?

PIERWSZY KARZEŁ

usiłuje z wielką gorliwością giąć ręką gorące żelazo.

Ręką je kształtuję.

HENRYK.

Szalony chłopie! Czy chcesz sobie ręce
w popiół przemienić? Cóż ja mam uczynić,
jeżeli nawet ty mi już nie służysz!
Czyżby udało mi się bez twej siły
tę strzelającą w niebiosa budowę
zespolić w sobie, związać, ugruntować
i ku wyżynom słonecznym w samotne,
wolne przestworza podnieść jej kopułę?

PIERWSZY KARZEŁ.

Kształt mi się udał i ma ręka zdrowa:
trochę zmęczona, martwa, lecz nic więcej!

HENRYK.

Co tchu do kadzi! Wodnik popieczone
palce-ć ochłodzi swym zielonym mułem.

Do drugiego karla.

Wypocznij teraz, leniu! Użyj sobie
na zasłużonym spokoju! Ja za to,
co już zrobione, wygodnie tu sobie
majstrowską zgarnę zapłatę.

Bierze świeżo wykute żelazo, siada i przygląda mu się.

W istocie!
Kształt doskonały. Pięknie uwieńczyły
trud tej godziny moce dobrotliwe!
Zadowolony jestem — być nim mogę:
Z bezkształtu kształt się urodził, z zamętu
cudny się klejnot wyłonił, którego
było nam trzeba w tej chwili, ażeby,
zarówno dbając o dół i o górę,

wcielić go w całość nieuzupełnioną.
Co ty mi szepcesz?

Czwarty karzeł *wszedł na krzesło i szepce coś Henrykowi do ucha.*

Daj mi spokój, zmoro!
bo ci skrępuję te ręce i nogi
i zaknebluję ci gębę.

Karzeł ucieka.

W tej części
cóż tu nie służy całości? Odpowiedz!
cóż ci się tutaj niepodoba? Nigdy
nie byłem jeszcze tak szczęśliw, jak dzisiaj,
nigdy nie było tej, jak dziś harmonii
pomiędzy ręką a sercem... Co ganisz?!
Czyż ja nie jestem tu majstrem? czy śmiał-
[byś
coś więcej znaczyć odemnie — ty sługo!
powiedz wyraźnie to, co masz na myśli!

Karzeł *wraca znowu i szepce. Henryk blednieje, wzdycha i z wściekłością rzuca gotową sztukę na kowadło.*

Niechże więc szatan wykończy to dzieło!
Kartofle sadzić pójdę i buraki
jeść, pić, spać będę — a potem — niech
[umrę.

Piąty karzeł *podchodzi do kowadła.*

A ty się nie waż! nie ruszaj mi tego!
Cóż mnie obchodzi, że-ć twarz zczerwienieje,
że włos ci dębem stanie, że zniszczenie
z ócz twych zezuje? Kto się tobie podda,

kto silną ręką nie przydusi ciebie,
temu zostaje tylko jedno: z głową
czekać schyloną na cios twej maczugi...

Piąty karzeł *z wściekłością rozbija na kowadle ukształtowane żelazo.*

Rozbijaj! cóż mnie do tego? Wszak teraz
pora spoczynku! Idźcie, karły, idźcie!
Jeśli poranek nowe da wam siły —
mam tę nadzieję — to znów was zawołam.
Na nic mi praca, o którą mnie proszą!
Ty tam przy miechu, chyba mi nowego
już nie rozżarzysz żelaza — idź sobie!

Karły, *z wyjątkiem mającego koronę na głowie, znikają za bramą, wykutą w opoce.*

A ty w koronie — ty, co raz przemawiasz,
jeden jedyny raz — ty na co czekasz?
Idź... ty swojego nie wypowiesz słowa
ni dziś, ni jutro — Bóg wie, czy w ogóle
mówić już będziesz! Idź! już się spełniło!...
Kiedy? ach! kiedy? Zmęczony-m... zmęczo-
[ny...
Nie lubię ciebie, wieczorna godzino!
Wtłoczona między dzień i noc, nie jesteś
ni dniem, ni nocą. Młot mi z rąk wytrącasz,
a snu nie dajesz — snu, który jedynym
jest wypoczynkiem! Serce, przepełnione
niecierpliwością, wie, że czekać musi,
czekać bezsilnie i z bólem nowego
dnia oczekuje. Słońce w głębi schodzi,
otuliwszy się wszystką swą purpurą —
i pozostawia nas w osamotnieniu...

I my, przywykli do światła czujemy
dreszcz bezradności i tak zubożeni,
zdać się musimy na łaskę tej nocy:
rano: królowie, wieczorem: żebracy,
łachmany mamy do snu na okrycie!

Kładzie się na ławie i drzemie z otwartemi oczyma. Kłęb białej mgły wciska się przez drzwi otwarte, a gdy się rozwiał, widać Wodnika u brzegu kadzi z wodą.

WODNIK.

Kworaks! brekekeks! Wypoczywa teraz
w nędznym szałasie, ten mistrz Robak-ziem-
[ski
i nic nie widzi, ni słyszy... Garbate,
obłoczne widma oblegają góry,
to niemo grożąc, jak gdyby pięściami,
to żałośliwie załamując ręce.
On nic nie widzi, nie słyszy pojęku
kalekiej sosny, ani też złowieszczych,
cichych poświstów, od których drżą igły
najstarszej jodły, gdy ta w przerażeniu
bije gałęźmi, jak kokosz skrzydłami.
Mróz mnie już trzęsie, zimny dreszcz prze-
[biega
po jego kościach, a on dalej snuje
we śnie swe dzieło...
Daj spokój! walczysz daremnie, bo walczysz
z Bogiem! Bóg ciebie wezwał, byś z Nim
[walczył,
lecz cię opuścił teraz, boś za słaby!

Henryk wije się w jękach.

Czcze twe ofiary! Wina pozostanie
winą! Zuchwalstwo twoje nie zdobyło

błogosławieństwa boskiego, ażeby
winę przemienić w zasługę, a karę
zmienić w nagrodę. Jesteś pełen grzechu!
Płaszcz twój zesztywniał od krwi, a przeni-
[gdy —
ile chcesz wołaj — nie zjawi się praczka,
coby go wyprać ci mogła. Po żlebach
i po czeluściach gromadzą się czarne
elfy, do dzikiej gotowe naganki.
Szczekanie sfory wnet ci się odbije
o twoje uszy... Zna ona zwierzynę.
Olbrzymy mgławic budują w powietrznych,
jasnych przestworzach obłoczne zamczyska
o groźnych wieżach, o potężnych murach,
zwolna je pędząc tu na góry twoje,
by zmiażdżyć wszystko—ciebie i twe dzieło...

HENRYK.

Zmora mnie gniecie! pomóż mi, Rusałko!

WODNIK.

Słyszy cię, idzie — lecz czy ci pomoże?
Chociażby Freją była, ty Balderem,
choćbyś miał sajdak, pełen strzał słonecz-
[nych,
choćby z nich żadna nie chybiała celu,
gdy ją wypuścisz z cięciwy, to jednak
musiałbyś uledz i upaść. Posłuchaj:
W głębinach jeziora dzwon leży na dnie,
w żwir, w głazy zaryty,
i rwie się w niebieskie błękity,
ku gwiazdom, ku słońcu się rwie!
Rybkami zalewa go fala,

lecz moja najmłodsza córeczka-pieszczocha
trwożliwie okrąża go zdala,
i nieraz, rozwiawszy zielone swe włosy,
wsłuchana w dzwonu odgłosy,
jęczy na głębiach i szlocha...
bo z dzwonu płynie taki dziwny zew,
jakby dzwon w ustach miał krew...
Bim bam! jęczy dzwon,
jakby w nim chował się skon!
I rusza się na dnie, podnosi się dzwon,
o biada-ć, gdy jego znów usłyszysz ton:
Zbraknie ci tchu!
Bim! bam!
Z twojego snu
niech Bóg cię wyrwie sam!

Znika w kadzi.

HENRYK.

Na pomoc! znowu mnie dręczy! na pomoc!

Budzi się.

Gdzież ja? gdzie jestem?

Przeciera oczy i rozgląda się na około.

Jest tu kto?

RUSAŁKA

stojąc we drzwiach.

Ja jestem!
Czy mnie wołałeś?

HENRYK.

Tak! chodź do mnie! chodź tu!
Swą rękę połóż na mą skroń... Tak!... muszę
twe włosy... serce... muszę czuć tu ciebie!

Chodź! tak... bliziutko! Przynosisz mi leśną
świeżość ze sobą i woń rozmarynu.
Pocałuj-że mnie! pocałuj!

RUSAŁKA.

Najdroższy!
Cóż ci się stało?

HENRYK.

Nic.. ja nie wiem... Pewnie
leżałem tutaj i marzłem — okrycie
daj mi! bezwładny, pozbawiony siły,
z zmęczonem serca biciem, wtem posępne
wtargnęły moce — byłem ich ofiarą —
aby mnie męczyć i dławić. — Lecz teraz
wszystko już przeszło... Nie martw się, me
[dziecię —
teraz jam znowu silny, nieugięty —
Niechaj przychodzą!

RUSAŁKA.

Kto?

HENRYK.

Wrogowie.

RUSAŁKA.

Jacy?

HENRYK.

Niewysłowieni wszyscy ci wrogowie.
Stoję ja dzisiaj na silniejszych nogach,
niż kiedykolwiek... Nie boję się zmory,
choć mnie podeszła we śnie, jak hyena —
skrycie, tchórzliwie...

RUSAŁKA.

W gorączce-ś, Henryku!

HENRYK.

Trochę mi chłodno... lecz to nic nie znaczy!
Obejmij-że mnie, przyciśnij do siebie!

RUSAŁKA.

Drogi! najdroższy!

HENRYK.

Powiedz-że mi jedno:
Wierzysz ty we mnie?

RUSAŁKA.

Tyś Balder! słoneczny
tyś mój bohater! ty mój bladolicy!
całuję białą twoją brew, co łukiem
tak się rozpięła nad twych ócz błękitem
niezamąconym.

Chwila spokoju.

HENRYK.

Tak! czy ja tem jestem?
Czym jest jak Balder? Wlej we mnie tę
[wiarę!
Daj mi świadomość tego, dziecię moje!
Memu duchowi daj ten szał podniosły,
którego trzeba mi, by tworzyć... Widzisz:
jako ta ręka z wielkim musi trudem
i obcęgami pracować i młotem,
rozbijać marmur, oraz dłuto dzierżyć —
jak tamto chybi, jak to się nie uda
i jak się pilność zagrzebywać musi

aż w najdrobniejsze szczegóły, tak nieraz
i szał zanika i ufność w swe siły,
pierś się zacieśnia i oko przygasa —
i ducha twórczy wzór się już zaciera.
W tej robociznie powszedniej, najemnej
trudno nie stracić niebiańskiego daru,
którego woni słonecznej niezdolne
żadne utrzymać więzy. I jesteś
jak oszukany i czujesz pokusę,
by się otrząsnąć z boleści narodzin,
które przed tobą zwycięzkim tryumfem
ukrył poczęcia przejasny dzień bogów.
Lecz dosyć tego... Prostym jeszcze słupem
wzbija się k'niebu dym z mojej ofiary.
Jeśli dłoń z góry przytłumić go pragnie,
niech to uczyni!... Wówczas płaszcz kapłań-
[ski
spadnie z mych ramion, nie ja go zrzuciłem,
i ja, pozostawion wyżej, niż ktokolwiek,
zmuszony będę z niemą rezygnacyą
zejść z szczytu swego Horebu... A teraz
przynieść pochodnie! światła! Czarodziejko,
pokaż swe sztuki! Daj mi swego wina!
Za zwykłych ludzi przykładem chwytajmy
przelotne szczęście z zuchwałą odwagą!
I wymuszony ten spoczynek lepiej
i z większem prawem wypełnimy życiem,
niźli lenistwo bezwładne, lichego
tłumu dziedzictwo, marnując dzień po dniu,
zrobić to może! Niech zabrzmi muzyka!

RUSAŁKA.

Mknęłam górami, to jak pajęczyna,

pędzona wiatrem, to strzelając k'niebu,
jak trzmiel, to w słodkiem lecąc upojeniu
z kwiàtka na kwiatek, jak motyl skrzydlaty.
I od ziół wszystkich, od mchów i od trawek
poodbierałam przysięgę: to wszystko
przysiądz musiało, że ci nic nie zrobi.
I tak: sylf czarny — choć twój najzaciętszy
wróg, ty mój biały i dobry, daremnie
usiłowałby śmiertelną dla ciebie
zgotować strzałę.

HENRYK.

Co? strzałę śmiertelną?
Znam ja to widmo! wiem: w ubraniu księ-
[żem
przyszło to widmo do mnie i podniósłszy
grożącą rękę, plotło mi o jakiejś
strzale, co miała tu! pod samo serce
ugodzić we mnie... I któż to tę strzałę
puści z cięciwy?

RUSAŁKA.

Nikt, ty mój najdroższy!
Nikt! ocalony-ś! mówię-ć: ocalony-ś!
Teraz — niech tylko zadrgnie twa powieka,
a wnet wytrysną, jako kłęby dymu,
przemiękkie tony i otoczą ciebie
dźwięczącym murem, którego ni ludzkie
głosy, ni brzmienia dzwonu, ni Loki'ego
podstępne, chytre nie przenikną sztuki...
Daj-że mi tylko rękę, znak najmniejszy,
a wnet się wzniesie nad nami sklepienie
opocznej sali, roje krasnoludków

wnet tu zaszemrzą, nakrywając stoły,
strojąc powały i ściany... Naokół
rośnie gorliwość złych, zawistnych duchów,
idźmy więc szukać schronu w wnętrzu ziemi,
gdzie żaden olbrzym nie może nas mroźnym
dotknąć oddechem... Przybytek zapłonie
tysiącem świateł...

HENRYK.

Nie, dziecię! nie teraz!
bo czem być może takie święto dla mnie,
jeśli me dzieło, nieme jak ruina,
nie przystrojone w świąteczną girlandę,
czeka tej chwili, gdy radosnym dźwiękiem
samo ogłosi święto świąt wspaniałe!
O, tam iść muszę, przyjrzyć się budowie,
do której więzy żelazne przykuły
moje jestestwo! Weź pochodnię w rękę
i świeć mi... Prędzej! Ci niewysłowieni
gdy tak panują wrogowie — a widzę,
że coś podgryza fundament budowy —
mistrz działać winien, nie w rozkoszy tonąć.
Skończone dzieło gdy będzie owocem
jego mozołu, tajemnicze cudo
gdy się objawi w spiżu lub kamieniu,
w złocie lub kości słoniowej: zwycięsko
przetrwa wiek wieków! Do nieskończonego
przyrasta klątwa, a jeśli ta klątwa
była bezsilną, zmienia się w szyderstwo...
Niechaj się stanie szyderstwem!

Chce odejść, staje atoli we drzwiach.

Me dziecię!

Dlaczego stoisz? Nie stój tak! chodź ze mną.
Wiem, że ci boleść sprawiłem!

RUSAŁKA.

Nie! nigdy!

HENRYK.

Cóż ci jest, dziecię?

RUSAŁKA.

Nic!

HENRYK.

Ty moja biedna!
Wiem, że się martwisz! wiem... Dziecięcy
[umysł,
rękami barwne chwytając motyle,
zabija z śmiechem to, co mu jest miłe.
Lecz ja czemś więcej jestem, niż motylem.

RUSAŁKA.

A ja? nie jestem czemś więcej, niż dziec-
[kiem?

HENRYK.

O jesteś! jesteś! zaiste! i jeśli
miałbym zapomnieć o tem kiedykolwiek,
wraz bym zapomniał o treści i chwale
mojego życia. O, chodź! blask twych oczu,
rosa w poświacie, mówi mi o bólu,
którym ci sprawił... Nie ja, usta moje
skrzywdziły ciebie! Moje wnętrze nie wie
o niczem więcej, tylko o miłości.

Nie łkaj tak bardzo! Chodź! ty mnie do no-
[wej
gry uzbroiłaś; przez cię dłoń ma próżna
tak napełniła się złotem, że mogłem
ważyć się na to, by razem z bogami
do gry przystąpić o palmę zwycięstwa.
I dzisiaj jeszcze tak się obdarzonym
widzę przez ciebie, tak mi odsłoniłaś
piękna swojego tajemniczy urok,
że, podziwienia pełen, chcąc je pojąć —
to niepojęte piękno, czuję w sobie,
żem równie bliski katuszy, jak szczęścia...
Naprzód... świeć dalej...

KOZODÓJ

krzyczy z poza sceny.

Hej-że! cóż do licha
tak się gniewacie! Przybytek Baala
trzeba obrócić w perzynę! Mój księże,
naprzód! hej! naprzód, mości Pianko! Dalej!
macie tu słomę, gałęzie i smołę!
Mistrz Henryk teraz ot! wycałowuje
swoją bogunkę! Na łożu rozpusty
leży mistrz Henryk! nie myśli o niczem!

HENRYK.

Snać się szaleju nałykał ten błazen!
Co tak się, trutniu, rozdzierasz po nocy!
Strzeż się! strzeż!...

KOZODÓJ.

Ciebie?

HENRYK.

Tak, mnie! Nie inaczej!

Za brodę-ć schwycę, kozonogi drabie!
Umiem ja robić porządek z takimi
jak ty łotrami! A gdy ci pokażę,
kto tu jest majstrem, gdy cię obłaskawię,
gdy cię oswoję, wnet uczynię z ciebie
to, czem nie jesteś: cap i kałdun będzie
mym robotnikiem! Drżysz? Tu masz kowa-
[dło,
a tam młot leży, widzisz, dosyć twardy,
aby cię nieco rozmiękczyć!...

KOZODÓJ,
odwracając się do niego tyłem.

Siarczysta
kozo ty z nieba! Zamierz się porządnie,
wal, gdy cię swędzi! Słuchaj: apostolski
miecz niejednego, jak ty, zapaleńca
już mnie tam łechtał, zanim się roztrzaskał!
Na tem kowadle rozmięknie na glinę
twoje żelazo i, jak krowie łajno,
tak się rozbryźnie.

HENRYK.

O tak! pasibrzuchu!
O tak! zobaczym, przeklęty kołbuku!
Choćbyś lat tyle liczył, co te góry,
chociażbyś siłę miał, jak pysk twój, wielką,
na łańcuch pójdziesz, będziesz wodę dźwigał,
zamiatał hutę, toczył wielkie głazy,
a za lenistwo będziesz brał bizuny!

RUSAŁKA.

Henryku! on cię przestrzega!

KOZODÓJ.

Hej! raźnie!
Piękna to będzie zabawa — zobaczę,
jak, niby cielę, wlec na stos cię będą:
ja sam przydźwigam siarki i oliwy
i beczkę smoły, by ci ogieniaszek
taki zgotować, że od jego dymu
dzień najjaśniejszy na noc poczernieje...

Odchodzi.

Z głębi wydobywają się krzyki i skowyty wielkiej ilości głosów.

RUSAŁKA.

Słyszysz, Henryku? Ludzie! Głosy ludzkie!
Straszliwi ludzie!... to przeciwko tobie!

Na scenę pada kamień i trafia Rusałkę.

Babko! pomocy!

HENRYK.

E! więc tak! Dziś we śnie
sforę widziałem, która mnie ścigała:
i słyszę sforę — lecz ta mnie nie ściga!
Bardzo mi w porę przyszły te szczekania!
Bo gdyby nawet anioł tutaj spłynął
z liliją w ręku i słodkiemi prośby
chciał mnie zaklinać,
ażebym wytrwał, nie mógłby mnie lepiej
przekonać dzisiaj o czystej wartości
i doniosłości mojego działania,

niżli tych głosów ohydne skowyty!...
Zbliżcie się do mnie! to, co jest waszego,
ja-ć wam zachowam... Was ja bronić będę
przeciw wam samym! Oto moje hasło!

RUSAŁKA.

Babko! dopomóż! pomóż mu, Wodniku!
Ze studni wydobywa się Wodnik.
Proszę cię, luby, najdroższy Wodniku!
Niechaj z opoki spadnie rozpylona
fala siklawy! Rozpędź-że tę sforę!
Uczyń to!

WODNIK.

Brekekeks! co mam uczynić?

RUSAŁKA.

Strąć ją w czeluście strumieniami wody!

WODNIK.

Nie mogę tego uczynić.

RUSAŁKA.

Wodniku!
Uczyń to! uczyń! ty możesz to zrobić!

WODNIK.

Jeśli uczynię, cóż mi przyjdzie z tego?
Ten majsterzyna niewygodny dla mnie!
Chce zapanować nad Bogiem i ludźmi!
Niech ta hołota sprzątnie go ze świata,
i owszem!

RUSAŁKA.

Pomóż, bo będzie za późno!

WODNIK.

Co mi dasz za to?

RUSAŁKA.

Co ja dam ci za to?

WODNIK.

Tak!

RUSAŁKA.

A więc powiedz, czego chcesz?

WODNIK.

Ej! ciebie!
Brekekeks! zdejmij z brunatnych członeczków
czerwony trzewik, suknię i staniczek,
bądź tem, czem jesteś; zejdź do studni ze
[mną:
Ja ciebie tysiąc mil stąd precz zaniosę...

RUSAŁKA.

Tak? przypatrz-że się, jak mądrze to uknuł!
Ażebyś wiedział teraz i na zawsze:
Wypędź te bzdurstwa z swej wodnistej gło-
[wy!
Gdybyś był starszy — o, trzykrotnie starszy
od baby-leśnej, gdybyś mnie na wieki
zamknął w skorupie ostrygi, to jeszcze
mnie nie oswoisz.

WODNIK.

A zatem, niech zginie!

RUSAŁKA.

Kłamiesz! ja czuję, że kłamiesz, Wodniku!
Słuchaj-że głosu jego. Głos to dawny,
dobrze nam znany! Myślisz, że nie widzę,
jak dreszcz cię chwyta?

Wodnik *znika.*

HENRYK

wraca wzburzony walką, śmieje się dziko, tryumfująco.

Jak psy mnie opadli —
Jam ich żagwiami tak, jak psów, odegnał!
Strącałem na nich granitowe ciosy!
Uciekł, kto nie padł. Podajcie mi trunek!
Bój pierś odświeża, zwycięstwo hartuje!
Raźniej mi w żyłach krew gorąca krąży!
Wesoło skaczą moje pulsy! Walka
nie męczy! Walka dodaje nam siły
dziesięciu mężów, odradza w miłości
i nienawiści!

RUSAŁKA.

Masz to, pij, Henryku!

HENRYK.

Dawaj, me dziecię, bom znowu spragniony
wina i światła, miłości i ciebie!

Pije.

Na twoje zdrowie, lekkowiewny duchu!
Zaślubiam ciebie na nowo tym trunkiem.
Tak, umysł twórczy, poróżniony z tobą,
w posępny smutek zapada, nie zniesie
ciężaru ziemi... Tylko mi się nie złam!

Ty, dziecię, jesteś skrzydłem mojej duszy!
O nie złam mi się!

RUSAŁKA.

Obyś ty mnie tylko
nie złamał kiedy!

HENRYK.

Uchowaj mnie, Boże!
Hej-że, muzyko!...

RUSAŁKA.

Chodźcie, krasnoludki!
z jam, dziur i szczelin: w rozbawionej sile
obchodzić będziem tę zwycięstwa chwilę
przy skrzypcach, fletniach! Zagrajcie wesoło,
a ja w taneczne zatoczę się koło
i lekko, zwinnie, śród szczerej ochoty,
świecących muszek nawpinam w swe sploty
i tak w ognistej lśnić będę koronie:
po Freji dyadem nie sięgną me dłonie!...

HENRYK.

Cicho!... zamilknij! mnie się...

RUSAŁKA.

Co?

HENRYK.

Nie słyszysz?

RUSAŁKA.

Cóż ja mam słyszeć?

HENRYK.

Nic.

RUSAŁKA.

O mój najdroższy!
Cóż ci się stało?

HENRYK.

Nie wiem... W szept tych dźwięków
wplótł się ton jakiś, jakiś głos...

RUSAŁKA.

Mów, jaki
głos?

HENRYK.

Ach! głos skargi... ton, dawno pogrzebion!
Lecz dajmy spokój! to nic! Zbliż się do
[mnie!
podaj mi warg twych czarę purpurową,
z której się pije i pije, a której
nigdy się do dna nie wychyli — słodką
upojeń czarę podaj mi — niech zginę!

Całują się. Długa chwila upojenia. Potem stoją w uścisku przed bramą. Widok potężnego świata górskiego zwolna go oszałamia i przykuwa do siebie.

Oto przed nami głęboki, olbrzymi
i chłodny przestwór rozszerza się, patrzaj!
hen! ku nizinom, gdzie mieszkają ludzie!
Człowiekiem jestem! Pojmujesz to, dziecię!
Obco i swojsko jest mi w tej dolinie
i na tej wyży obco mi i swojsko!
Umiesz to pojąć?

RUSAŁKA.

Tak!

HENRYK.

O, jakże dziwnie
patrzą twe oczy, gdy to mówisz, dziecię!

RUSAŁKA.

Boję się...

HENRYK.

Czego?

RUSAŁKA.

Ach! ja nie wiem, czego...

HENRYK.

To nic! spocznijmy!

Prowadząc ją ku wyjściu w opoce, staje nagle i odwraca się.

Oby tylko księżyc,
z tem swojem bladem, jak kreda, obliczem,
wiszący w górze, nie rozlał na wszystko
cichego światła swych zmartwiałych oczu!
Oby on tylko nie rozjaśniał nizin,
z których wyszedłem... Mnie widzieć nie
[wolno
tego, co skrywa szarej mgły okrycie!
Cyt! To nic! Dziecię! czy ty nic nie sły-
[szysz?

RUSAŁKA.

Nie! nic! i pojąć nie mogę, co mówisz.

HENRYK.

Jeszcze nie słyszysz nic?

RUSAŁKA.

A co mam słyszeć?
Słyszę jesienny wiatr, depczący trawy,
i pogwizd kani słyszę ponad nami,
słyszę, jak dziwne wypowiadasz słowa
głosem dalekim, obcym, dziwnym głosem.

HENRYK.

Tam! tam w dolinie krwawy blask miesiąca!
Patrzaj! jak on się odbija w tej wodzie.

RUSAŁKA.

Nic ja nie widzę!...

HENRYK.

Cicho, to nie złuda!
Ja mam nadzieję, że mi Bóg przebaczy,
to nie jest złuda! Wspina się po głazie,
po tym szerokim głazie, który leży
w poprzek ścieżyny.

RUSAŁKA.

Nie spoglądaj na dół!
Ja drzwi te zamknę, aby cię ratować
przemocą...

HENRYK.

Mówię-ć: daj spokój! daj spokój!
Widzieć je muszę i chcę!...

RUSAŁKA.

Patrz, jak w odmęt,
tak w żleb ten skręca gazę białej chmurki...
Słaby-ś, nie wkraczaj w jego koło...

HENRYK.

Słuchaj:
Nie jestem słaby... to nic... już zniknęło!...

RUSAŁKA.

O tak!... bądź znowu mistrzem nam i pa-
[nem —
nędzne mamidło niech twa moc rozwieje!
Chwyć młot — niech z świstem uderza! —

HENRYK.

Nie widzisz,
Jak coraz wyżej pnie się?

RUSAŁKA.

Gdzie?

HENRYK.

Tam w górze —
po wązkiej perci... w koszulce —

RUSAŁKA.

Kto?

HENRYK.

Bose
chłopięta. Dzbanek dźwigają niebogi —
ciężki dzbanuszek... Patrz! to ten, to tamten
musi go przed się popychać kolankiem,
nagiem, maluśkiem kolankiem...

RUSAŁKA.

O, matko!
ratuj biednego!

HENRYK.

Naokół ich główek
błyszczy korona świętych...

RUSAŁKA.

To światełko
błędne cię mami!

HENRYK.

Nie! złóż ręce... Widzisz...
widzisz... są tutaj...

Klęka; zjawia się dwoje chłopiąt, z trudem dźwigających dzban wody. Ubrani tylko w koszulki.

PIERWSZE CHŁOPIĘ
głosem zamierającym, głuchym.

Tatusiu!

HENRYK.

Tak, dziecię!

PIERWSZE CHŁOPIĘ.

Matka najdroższa pozdrowić cię każe...

HENRYK.

Dzięki, mój chłopcze luby. Ma się dobrze?

PIERWSZE CHŁOPIĘ
powoli i smutno, na każdym wyrazie kładzie nacisk.

Tak, ma się dobrze.

Z głębi wydobywa się ledwie że dosłyszalny dźwięk dzwonu.

HENRYK.

Coście tu przynieśli?

DRUGIE CHŁOPIĘ.

Dzbanuszki.

HENRYK.

Dla mnie?

DRUGIE CHŁOPIĘ.

Tak, kochany ojcze!

HENRYK.

Cóż w tym dzbanuszku macie, drogie dzieci?

DRUGIE CHŁOPIĘ.

Coś tu słonego mamy.

PIERWSZE CHŁOPIĘ.

Coś gorzkiego.

DRUGIE CHŁOPIĘ.

Łzy matki.

HENRYK.

Boże na niebie!

RUSAŁKA.

Na kogo
tym osłupiałym patrzysz wzrokiem?

HENRYK.

Na nich!
Na nich!

RUSAŁKA.

Na kogo?

HENRYK.

Czy ty nie masz oczu?
Na nich! powiadam... Gdzie jest wasza
[matka?

PIERWSZE CHŁOPIĘ.

Matka?

HENRYK.

Tak, gdzie jest?

DRUGIE CHŁOPIĘ.

Tam, gdzie róże wodne.

Z głębi słychać silny głos dzwonu.

HENRYK.

Dzwon... dzwon...

RUSAŁKA.

Ach! powiedz, jaki dzwon?

HENRYK.

Ten dawny,
ten pogrzebany dzwon to dzwoni... dzwoni...
Któż mi to sprawił? Nie chcę... nie chcę
[słyszeć...
Ratuj mnie!...

RUSAŁKA.

Ochłoń! Henryku! Henryku!

HENRYK.

Dzwoni!... O Boże! zbaw mnie! zbaw mnie,
[Boże!
Któż mi to sprawił? Słuchaj, jak rozbrzmie-
[wa!
jak pogrzebany głos ten, jak ten grzmiący
wznaga się odmęt, jak rośnie do góry,
lekko opada, a z podwójną za to
przybiera mocą...

Do Rusałki.

Nienawidzę ciebie!
Pluję na ciebie! precz ty! precz, upiorze!
precz, czarownico! precz, przeklęty duchu!
precz! precz! przekleństwo na ciebie i na
[mnie,
na moje dzieło i na wszystko! Jestem...
jestem tu... jestem... idę... idę... Boże!
miej Ty nademną miłosierdzie...

Wstaje i pada, wstaje znowu i z trudem odchodzi.

RUSAŁKA.

Ochłoń!
Ochłoń, Henryku!... zostań!... koniec! koniec!

Koniec aktu czwartego.

AKT PIĄTY.

Polana z domkiem Baby-Jagi, jak w akcie I-ym. Naokoło studni usiadły trzy bogunki.

PIERWSZA BOGUNKA.

Ognie się palą.

DRUGA BOGUNKA.

Od szczytów czerwony,
ofiarny wicher zawiewa w dolinę.

TRZECIA BOGUNKA.

Obłoki dymu czarnego, muskając
wierzchołki świerków, snują się ku głębiom.

PIERWSZA BOGUNKA.

A w głębiach białe osiadły opary.
Bydło, po szyję pogrążone w miękkiem
jeziorze mgławic, ryczy żałośliwie,
spragnione obór.

DRUGA BOGUNKA.

Słowik piał w buczynie
tak przejmująco, że ja, drżąc z boleści,
padłam na miękkie liście i płakałam...

TRZECIA BOGUNKA.

Rzecz dziwna! spałam na siatce pająka,
między trawami, ach! tak rozciągniętej,

cudnie utkanej z purpurowych włókien:
gdym na nią weszła, do łoża królowej
była podobna. Dobre legowisko!
Na łące rosa, w odblaskach wieczornej
świecąca zorzy, przyjazne płomienie
rzucała ku mnie i ja, pod ciężkiemi
kryjąc powieki zmęczone źrenice,
błogo zasnęłam. Kiedym się zbudziła,
światłość w bezmiernych zamarła przestwo-
i poszarzało me łoże. Jedynie [rach
na wschodzie ciemne powstały żary
i wciąż tak rosły, a księżyc, jak bryła
rozpalonego metalu, na wirchów
głaźnym się grzbiecie położył. Przedziwnie
od krwawej łuny ukośnych promieni
zdawała ruszać się łąka; i wokół
słyszałam szepty i łkania i jęki —
nikłe głosiki płaczu i żoroty —
aż dreszcz przejmował. Wołałam na chrzą-
[szcza,
co miał latarkę z światłem zielonawem,
ale poleciał. I trwożno mi było,
gdym tak leżała, nie wiedząc o niczem,
aż najmilejszy z wszystkich elfów miłych —
zdala słyszałam szelest jego skrzydeł —
przywionął ku mnie na pasikonika
skrzydłach błyszczących. Gdyśmy, dzieląc
[łoże,
tak się pieścili, na nasze całunki
łzy mu pociekły; i nakoniec, łkając
i przycisnąwszy mnie do swojej piersi,
dziko, namiętnie, że aż moje łono
we łzach tonęło, rzekł mi: Balder umarł!

PIERWSZA BOGUNKA
powstając.

Ognie się palą!

DRUGA BOGUNKA
powstając również.

Głos Baldera!

TRZECIA BOGUNKA
idąc zwolna na skraj losu.

Balder
umarł! — mnie zimno!
Znika.

PIERWSZA BOGUNKA.

Nad krajem się zbiera
Klątwa, jak dym ten ze zwłoków Baldera.

Licho przebiega przez łąkę. — Skoro się rozjaśniło, wszystkie bogunki znikły. Zjawia się Rusałka, *schodząc z gór zmęczona i wynędzniała. Siada ze znużenia i znowu powstawszy zbliża się do studni. Glos zamierający.*

RUSAŁKA.

Siedziałam przy uczcie. Na stół mój bie-
[siadny
przyniesie mi puhar chochlików tłum zdra-
[dny
do tej weselnej sali:
Miast wina, krew się w nim pali —
musiałam wypić ten puhar.

* * *

A kiedym weselny ten trunek wypiła,
żelaznej prawicy zaciężу mi siła
na trwożnem, wylękłem łonie —
serce we wnętrzu mi spłonie:
muszę to serce ochłodzić.

* * *

Na stole weselnym dyadem spoczywa:
czerwone korale, rybka srebrno-szkliwa;
przybrałam skroń tą koroną
i jestem Wodnika żoną!
Serce ochłodzić — musiałam.

* * *

Na łono, na moje, trzy jabłka zleciały:
różowy był owoc, złocisty i biały —
ślubny to mój podarek.
Bogactwo mi przyszło, złociste gdym zjadła,
gdym białe spożyła, twarz moja pobladła,
nakoniec zostało różowe.

* * *

Biała, różowa i blada
siedziała dziewczyna umarła, o biada!
Wodniku! swe otwórz bramice:
umarłą oblubienicę
wiodę-ć pomiędzy rybki i kamienie
w te chłodne, głębokie te cienie...
O ty spalone serce!

Schodzi do studni. Kozodój *wychodzi z lasu, przystępuje do studni i woła.*

KOZODÓJ.

He! żabi królu, a wyleź-że ino!

He! ty przeklęty wyleź chlapiwodo!
Czy ty nie słyszysz? Śpisz, zielony brzuchu?
Mówię ci: wyleź! A choćby przy tobie
na łożu z błota najpiękniejsza z wodnych
leżała dziewic, gmerając ci w brodzie,
porzuć ją, wyleź! Żałować nie będziesz,
bo ci opowiem coś, co — do stu koni!—
warte jest dziesięć twych nocy miłosnych,
skąpanych w wodzie!

WODNIK

niewidzialny z wnętrza studni.

Brekekekekeks!

KOZODÓJ.

Co się namyślasz? Wyłaź!

WODNIK.

Nie mam czasu
Stul pysk! daj spokój.

KOZODÓJ.

Czasu masz po uszy,
ażeby ciaćkać ten swój brzuch ropuszy...
Hej! starowino! posłuchać aż miło —
com przepowiedział, wszystko się spełniło:
On ją porzucił. Jeśli się zakręcisz,
rzadkiego k'sobie motylka przynęcisz.
Trochę on zmięty — lecz cóż to obchodzi
mnie i Wodnika! Więcej, niż się godzi,
znajdziesz, mój stary, wesołej zabawy
przy tem stworzonku...

WODNIK.

Wcale-m nie ciekawy.
Myślisz, że będę się uganiał za nią?
Niema co mówić!

KOZODÓJ.

Więc gardzisz tą panią?
Aj! żebyś wiedział, gdzie ona się kryje!

WODNIK.

Szukaj jej, szukaj...

KOZODÓJ.

A toć ledwie żyję,
tak jej szukałem — przez mgły, przez po-
[mroki,
hen! na najstromsze właziłem opoki,
gdzie cap nie wyjdzie. Pytałem po drodze
każdego susła, lecz o tej niebodze
ni wąż, ni szczygieł, ani suseł mały —
sokół, ni kania, nic tam nie wiedziały.
Spotykam śpiących przy ognisku drwali,
skradnę łuczywo i tak szukam dalej,
aż z tymi w ręku płonącymi żary
stanę przy kuźni opuszczonej, starej:
i ona teraz w te pomroki czarne
gęstego dymu kłęby śle ofiarne;
trzeszczą wiązadła iskry coraz krwawsze!
Z ludzkiem mistrzowstwem już koniec na
[zawsze.

WODNIK.

Wiem ja, wiem o tem! Czyż te są powody,
że mnie na górę wywołujesz z wody?

Wiem trochę więcej! Wiem ja, brachu, o [tem,
kto tak wyprawiał z małym dzwonu młotem!
Gdybyś był wiedział, co się w tem jeziorze,
działo, jak jeszcze w żadnej dotąd porze,
jak tej niewiasty zmarłej trupie dłonie,
szukając dzwonu, spoczęły na dzwonie,
i jako dzwon ten, zaledwie dotknięty,
ryczał, by lwica, przez wodne odmęty,
jak za swym mistrzem wyrzucał w niebiosy
nad górskie szczyty piorunowe głosy!
Słuchaj! patrzałem swą źrenicą własną
na tę niewiastę: włos jej falą jasną
opływał lice, smutne, pełne żalu.
A gdy jej kłykcie dotknęły metalu,
z podwójną mocą szały dzwonu rosły...
Włosy się moje do góry podniosły...
Nie jedno-m widział, lecz przed tym obra- [zem
wszyscy ze strachu uciekliśmy razem.
Gdybyś był patrzył na te w głębi sprawy,
z tą boguneczką nie chciałbyś zabawy;
niechaj po ziołach, po kwiatach ugania
marne stworzonko — jam syt już kochania.

KOZODÓJ.

Ja nie! na kozę siarczystą! Bacz proszę:
każdy to robi, z czego ma rozkosze —
Niech tylko słodkie to ciałko posiędę,
o trupa z stawu troszczyć się nie będę.

WODNIK.

Kworaks! brekekeks! Zabawka niewinna.

Jeśli cię żadna pchła nie gryzie inna,
tę możesz zabić! Choćbyś dziesięć latek
goniąc, wygonił swoich sił ostatek,
jej nie dostaniesz. Ona, mych uścisków
żądna, do capich nie ma chęci pysków.
Bądź zdrów! pojmujesz, zejść do studni mu-
[szę,
ty na swobodę, a ja tu katusze
ponosić będę — mówiąc prawdę szczerą,
najnowszej żonki folgując chimerom.

KOZODÓJ

krzycząc za znikającym Wodnikiem.

Jak na tem niebie tłum gwiazd świeci mnogi,
jak mocny jestem w biodrach, jak mam rogi,
jako te ptaki latają po świecie,
tak ty kołysać będziesz ludzkie dziecię!
Dobranoc, brachu! dobranoc i kwita!
Hoc! hoc! przez krzaki! Ot i pchła zabita!

Wybiega w komicznych podskokach.

Z chałupy wychodzi Baba-Jaga *i zdejmuje okiennice.*

BABA JAGA.

Czas wstać największy... Czuć już świeże
[rano.
O! to dzisiejszą noc się nadudniło!
Kur pieje.
No tak! a jakże! kukuryku kuku!
Nie potrzebujesz ty się troszczyć o mnie.
Innych budź ze snu. My bez ciebie wiemy,
co się tam święci, zanim kur zapieje.

Ano! kokoszka zniosła jajko złote,
a i na niebie kule też świeciły.
I znowu jasno... podnieś-że powieki!
mały gagatku! podnieś-że powieki!
Nowy dzień idzie, to juści jest pewno.
Nie masz tam czasem błędnego ognika,
czy coś takiego? chciałabym się trochę
rozejrzeć tutaj, no, a mój karbunkuł
gdzieś mnie się podział...

Szuka po kieszeniach i wyjmuje czerwony kamień, błyszczący.

Już go mam.

GŁOS HENRYKA.

Rusałko!

BABA JAGA.

No, zaraz przyjdzie! Wołaj ino, wołaj!

HENRYK.

Rusałko! jestem! nie słyszysz?

BABA JAGA.

E! z biedą
usłyszy ciebie — bardzo o tem wątpię.

HENRYK

zjawia się zadyszany na opoce ponad szałasem, blady, obdarty. W prawem ręku waży kawał kamienia i zachowuje się tak, jakby go miał rzucić w przepaść po za siebie.

Bądźcie odważni i śmieli! Niech będzie

kto chce: ksiądz, balwierz, nauczyciel, kra-
[marz —
kto się odważy krok uczynić w górę,
musi się stoczyć z góry, jak wór piasku...
Wyście strącili, a nie ja, mą żonę!
Hultaje, łotry, żebraki, szubrawcy,
co o trzy grosze będą przez trzydzieści
jęczeli nocy swoje ojczenasze,
a — źli już z gruntu — mają czelność wszę-
[dzie,
gdzie tylko można, wyduszać dukaty
wiecznej miłości bożej? Obłudnicy!
kłamcy! kamienną zbudowali groblę,
ażeby nizin swoich piekło suche
od oceanu Boga odciąć murem,
od jego rajskiej, zbawiającej fali...
Kiedyż się zjawi kopacz, co tę groblę
zniesie na zawsze! Ach! ja nim nie jestem,
ja nim nie jestem — zaprawdę!

Henryk odkłada kamień i idzie naprzód.

BABA JAGA.

Hej! dalej
iść tam nie można!... powoli!... powoli!

HENRYK.

Cóż to, starucho, pali się tam w górze?

BABA JAGA.

A czy ja wiem to?... Był tam jakiś czło-
[wiek,
co pobudował na pół jakby kościół,
a na pół zamek królewski. A teraz
on sobie poszedł, więc to się tak pali.

Henryk usiłuje rozpaczliwie piąć się w górę.

Ja ci powiadam — to jest stroma ściana:
kto wleźć tam pragnie, ten musi mieć skrzy-
[dła,
a twoje skrzydła, człowieku, złamane.

HENRYK.

Złamane skrzydła lub też nie — ja muszę
wspiąć się na szczyt ten: to, co się tam pali,
to moje dzieło! jam je pobudował;
wszystko, czem byłem i co mi się stało,
jam w gmach ten rzucił!...
nie mogę dalej, nie mogę...

Chwila ciszy.

BABA JAGA.

Wypocznij krztynę; teraz zmrok na drogach—
tam jest ławeczka... usiądź.

HENRYK.

Ja wypocząć?
Choćbyś mi łoże dała z samych puchów,
z samych jedwabiów: nie więcej mnie nęci
kupa skorupek: tak! całunek matki —
dawno już ona prochem — wyciśnięty
na mojej zimnej, na febrycznej skroni,
bezsilnem byłby dziś błogosławieństwem,
a taki spokój przyniósłby, jak żądło
osy.

BABA JAGA.

Co gadasz!... E! poczekaj trochę;
mam ja w piwnicy kroplę wina...

HENRYK.

Wody!
Czekać nie mogę!

Idzie ku studni i siada na krawędzi.

BABA JAGA.

A no, idź, zaczerpnij
wody ze studni i pij...

HENRYK

idzie, czerpie i pije, siedząc na krawędzi studni, z której wydobywa się cichy, słodki, żałośnie śpiewający głos.

GŁOS ZE STUDNI.

Henryku! kochanku ty mój!
Mojej studzienki to zdrój!
Wstań! odejdź stąd, mój luby,
przyczyno mojej zguby,
mych smutnych dni —
wstań! żegnaj mi!...
Chwila ciszy.

HENRYK.

Co to? odpowiedz, stara! cóż to było?
Coś po imieniu smutnie mnie wołało...
„Henryku“ rzekło, jak najcichszy oddech —
potem z tej głębi „żegnaj mi!“ szepnęło —
Kim jesteś, stara? i gdzie ja tu jestem?
Jak gdybym ze snu się zbudził: ta chata
i ta opoka i ty sama: wszystko
tak mi jest znane, a jednak tak obce!
Czy to, com przeżył, nie jest niczem więcej,
jak tylko tchnieniem przelotnego dźwięku,
co jest, a już go niema, co zaledwie
że był gdzieś jeszcze?! Starucho, kim je-
[steś?

BABA JAGA.

Ja? Kim ty jesteś?

HENRYK.

Ty mnie o to pytasz?
Kim jestem, stara? jakże ja się często
pytałem o to niebiosów: kim jestem —
lecz odpowiedzi nie było. To jedno
tylko jest pewnem: czemkolwiek być mogę,
czy bohaterem, czy słabym człowiekiem,
jakimś półbogiem, czyli też zwierzęciem,
słońca ja jestem podrzuconem dzieckiem,
co tak bezwładnie — licha garstka nędzy —
rwie się ku swojej macierzy, tęskliwie
wyciągającej złociste ramiona
ku mnie, a nigdy nie mogącej swego
dosięgnąć dziecka... A cóż ty tam robisz?

BABA JAGA.

W sam czas zobaczysz.

HENRYK
podnosi się.

A więc krwawem światłem
twojej latarki pokaż-że mi dalszą
drogę, wiodącą ku wyży... Gdy tylko
raz już tam stanę, gdziem ongi był władcą,
będę, samotny odtąd, jak pustelnik,
żył, ni panując, ni służąc.

BABA JAGA.

Nie wierzę.
Czego innego szukasz tam na górze.

HENRYK.

A jakże wiesz to?

BABA JAGA.

Wiem ja to i owo.
Następowali ci na pięty? prawda?
Jeżeli idzie o ściganie życia,
wtedy to ludzie są jak wilki. Za to,
jeżeli idzie, aby śmierć przetrzymać,
to wtedy oni są, jak stado owiec,
pomiędzy które skoczył wilk. A jakże!
No, a pasterze tych owiec — o rety! —
to są dopiero ludzie: ciągle krzyczą:
„Uciekać! owce! uciekać!“ i szczują
psami — nie wilka, ino własne owce,
aż je zapędzą w gardziel wilka. Lepszym
i ty nie jesteś od innych: ścigałeś
swe jasne życie, a śmierci odważnie
także nie zniosłeś...

HENRYK.

Starucho, patrz, nie wiem,
jak się to stało, że takiem od siebie
odtrącił życie, że ja, mistrz, uciekłem
od swego dzieła, jak najlichszy uczniak,
że tak bezsilnie uległem głosowi
własnego dzwonu, który sam mu dałem.
Prawda, że dźwięk ten ze spiżowej piersi
z taką potęgą wzbijał się nad szczyty,
takie rozbudzał echa śród wierzchołków,
że na wsze strony rosło groźne brzmienie,
waląc się na mnie. Lecz ja pozostałem
zawsze tym mistrzem i tą samą ręką,

która odlała dzwon ten, jam był zmuszon
rozbić na szczątki swoje własne dzieło,
nie chcąc, ażebym sam się przed niem roz-
[bił.

BABA JAGA.

Niema co mówić, jak koniec, to koniec!
Na swoją górę nigdy już nie wejdziesz.
To ci powiadam: prosta była z ciebie,
widzisz, latorośl, silna, ale przecie
nie dosyć silna... Powołany byłeś,
ino nie byłeś wybrany... Chodź, usiądź!

HENRYK.

Stara, bądź zdrowa!

BABA JAGA.

Chodź i siadaj sobie.
Kupy popiołu nie warte, co robisz.
Życie ten widzi, kto żyje... A mówię,
że tam u góry życia ty nie znajdziesz.

HENRYK.

Więc niech umieram tutaj, na tem miejscu.

BABA JAGA.

Tak się też stanie! Jeśli ktoś tak wzleci,
jak ty, do światła i potem upadnie,
ten juści musi się rozbić — to-ć mówię.

HENRYK.

Czuję, że jestem u końca mej drogi —
niech i tak będzie!

BABA JAGA.

Tak, jesteś u końca!

HENRYK.

Ty, co tak dziwnie mądrze mówisz do mnie,
powiedz: nim umrę, czy będzie mi danem,
ażebym ujrzał to, czego tak szukać
krwawemi muszę stopami? Co? milczysz?
Czyż z ciemnej nocy muszę w noc ciemniej-
[szą
przejść bez odblasku straconego światła?
Nie ujrzę-ż nigdy...?

BABA JAGA.

Kogo chciałbyś widzieć?

HENRYK.

Ja? nie wiesz o tem? Kogożby innego?

BABA JAGA.

Masz swe życzenie — mów, to twe ostatnie...

HENRYK

prędko.

Już powiedziałem.

BABA JAGA.

Ujrzysz ją.

HENRYK.

Ach! matko!
Masz taką władzę? Możesz mi to sprawić?
Dlaczego tak cię nazywam, ja nie wiem.
Była już we mnie ta dojrzałość końca,

jaka jest dzisiaj... Za każdym oddechem
z niecierpliwością nieomal pragnąłem,
aby ten oddech był ostatnim... Widzisz,
wtem przyszła ona: i, jak wiew wiosenny,
przenikło chore kości uzdrowienie —
byłem wyleczon... i dziś, tak mi lekko,
jak gdybym znowu mógł ulecieć w górę...

BABA JAGA.

No, z tem już koniec. Za ciężkie brzemio na
które ściągają cię na dół, a twoi
zmarli zanadto są silni, ażebyś
mógł ich zwyciężyć. Uważaj: trzy szklanki
na stół postawiam: do jednej naleję
białego wina, a zaś czerwonego,
patrz! do tej drugiej, żółtego do trzeciej.
Wypijesz pierwszą, to raz jeszcze wróci-ć
dawniejsza siła. Gdy wypijesz drugą,
wtedy uczujesz w sobie raz ostatni
jasnego ducha, który cię opuścił.
Lecz kto już wypił raz te obie szklanki,
ten musi potem wypić też i trzecią!

W chwili, gdy wchodzi do chaty, staje i mówi znacząco.

Musi! powiadam — rozumiej mnie dobrze.

Odchodzi.

HENRYK

podskoczył w egzaltacyi; przy wyrazach „na tem już koniec“ cofa się blady. Teraz budzi się z osłupienia, pada na ławkę, siedzi oparty o poręcz.

Tak! „z tem już koniec,“ koniec! koniec!
[rzekła...

Serce! wiesz o tem, tak jak nigdy przedtem.
Czemu się pytasz? Wróżko przeznaczenia,
z tem słowem twojem, co jak topór pada,
ażeby przerwać sznur żywota, wszystko
już się skończyło! To co pozostaje,
to tylko zwłoka — o, bezużyteczna,
tylko nie dla mnie! Ze żlebnych otchłani
zawiewa zimno... Dzień, co tam! swe przyj-
[ście
pierwszym rozświtem zapowiada, pasmo
opadłych chmurek bladem rozświecając
światłem, już nie jest moim! Dni już tyle
żyłem, a pierwszy dzień ten już nie dla
[mnie!

Chwyta pierwszy kubek.

Więc ku mnie, czaro, nim oczy mgłą zajdą!
Ciemna się kropla na dnie twojem pali —
Ostatnia! Stara, czy nie miałaś więcej?
Niech i tak będzie!

Pije.

A teraz ty druga!

Bierze drugą czarę.

Dla ciebiem rękę wyciągnął po pierwszą...
Gdyby tu ciebie nie było, rozkoszna,
upajająca, woni pełna czaro:
owa biesiada, na którą na świat ten
Bóg nas zaprosił, byłaby zbyt nędzną,
byłaby, gościu niebieski —
tak mi się zdaje — zbyt niegodną ciebie.
A teraz dzięki tobie!

Pije.

Dobry trunek!

Gdy Henryk pije, pobrzmiewa w powietrzu dźwięk harf eolskich.

RUSAŁKA

wychodzi znużona ze studni, siada na krawędzi i czesze swe długie, rozwiane włosy. Księżyc oświeca ją, ona jest blada i śpiewa.

Sama w tej nocy — o smutne losy! —
czesze swe włosy, złociste włosy,
piękna ja, piękna Rusałka...
Mgły się hen! snują, ptaki w dal lecą,
samotne wiatry po halach świecą...

WODNIK

niewidzialny, z wnętrza studni

Rusałko!

RUSAŁKA.

Idę!

WODNIK.

Przychodź-że co prędzej!

RUSAŁKA.

O dolo! dolo!
za ciasna suknia moja!
Biedna ja, biedna z studni dziewoja!

WODNIK.

Rusałko!

RUSAŁKA.

Idę!

WODNIK.

Przychodź-że co prędzej...

RUSAŁKA.

W miesięcznym blasku czeszę swe sploty,
a w myślach moich jedyny, złoty,
dawny kochanek mój!
Po leśnej błoni
jakże mi dzwoni
wonny dzwoneczków rój!
Dzwoni na radość, czy też na bole?
Na szczęsną dolę?
Na smutek wraz!
Czas już do studni, czas!
Za długa to już godzina:
Czeka na mnie wodna głębina —
Czas już do studni, czas!

Chcąc odchodzić.

Któż to tak cicho woła?

HENRYK.

Ja!

RUSAŁKA.

Kto taki?

HENRYK.

Zbliż się, a poznasz — Niezawodne znaki!

RUSAŁKA.

Nie znam ja ciebie, zbliżyć się nie mogę...
Zabijam tego, kto mi zajdzie drogę
i mówi ze mną...

HENRYK.

Nie zadawaj męki!
Poznasz, gdy tylko dotkniesz się mej ręki!

RUSAŁKA.

Nigdy nie znałam ciebie, w żadnej porze...

HENRYK.

Nigdy nie znałaś?

RUSAŁKA.

Nigdy.

HENRYK.

A czy może
i nie widziałaś?

RUSAŁKA.

Nie wiem, gdzie!

HENRYK.

O Panie!
Niechże się ze mną raz już koniec stanie!
Czym nie całował ust twych?

RUSAŁKA.

Nie.

HENRYK.

Spłoniona
od tych całunków, nie szłaś w me ramiona?

WODNIK.

Rusałko!

RUSAŁKA.

Idę!

WODNIK.

Chodź, Rusałko moja!

HENRYK.

Któż ciebie woła?

RUSAŁKA.

Z studziennego zdroja
mój mąż mnie wzywa.

HENRYK.

Patrz, jakie katusze,
jak nigdy w życiu, szarpią moją duszę!
Ach! straconego nie dręcz tak człowieka,
co z twojej ręki wybawienia czeka.

RUSAŁKA.

Jak cię mam zbawić!

HENRYK.

Zbliżywszy się do mnie.

RUSAŁKA.

Nie, ja nie mogę!

HENRYK.

Nie możesz?

RUSAŁKA.

Niezłomnie!

HENRYK.

Czemu?

RUSAŁKA.

W studziennym tańcujemy dole...
Ciężkie me nogi, lecz uchodzą bole,
skoro zatańczę — stopa już nie pali!
Żegnaj!...

HENRYK.

Nie odchodź! Gdzie ty?

RUSAŁKA

wszedłszy poza krawędź studni.

W wiecznej dali!

HENRYK.

O tam!... ten puhar!... Magdo, ty mi rada,
podaj ten puhar... Ach! jakaś ty blada!
Błogosławieństwo temu w mej podzięce,
kto mi go poda.

RUSAŁKA.

Ja!

HENRYK.

Więc twoje ręce!

RUSAŁKA.

Moje! Umarłym dać raz spokój trzeba.

HENRYK.

O, ja cię czuję, ty aniele z nieba!

RUSAŁKA.

Żegnaj! nie jestem już kochanką tobie!
byłam nią kiedyś — w tej majowej dobie!
dziś już nie pora.

HENRYK.

Nie pora!

RUSAŁKA.

Nie pora!
A kto cię do snu tulił co wieczora?
Kto słodką piosnką budził cię co rana?

HENRYK.

Ty, a nikt inny!

RUSAŁKA.

Kto „ty?“

HENRYK.

Ukochana
Rusałka moja!

RUSAŁKA.

Kto świeże, wiosenne
ciało ci oddał? Na to dno studzienne
kogo zepchnąłeś? Kogo?

HENRYK.

Ciebie!

RUSAŁKA.

Kogo
„Ciebie?“

HENRYK.

Rusałkę, mą Rusałkę drogą!

RUSAŁKA.

Żegnaj!

HENRYK.

A teraz cicho do mogiły.
Noc idzie!...

RUSAŁKA

przybiega ku niemu, obejmuje go za kolana z wybuchem radości.

Słońce!

HENRYK.

Słońce!

RUSAŁKA.

O mój miły!

HENRYK.

Dzięki!

RUSAŁKA.

obejmuje Henryka i do ust jego przyciska swe wargi; poczem łagodnie składa umierającego.

Henryku!

HENRYK.

W górze dzwoni struga
blasków — Nadchodzi słońce... Noc jest
[długa!..

Zorza poranna.

KONIEC.